Kwiecień — Maj 1935

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XLIV

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYNSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

Drukarnia Mazowiecka. Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

T R E Ś Ć:

W HOŁDZIE WIELKIEMU ZMARŁEMU.

Nadzwyczajne walne zebranie Związku Polskiej Myśli Państwowej, zwołane z początkiem maja dla załatwienia szeregu spraw bieżących, wypadło na termin 16-go tego miesiąca, gdy właśnie niespodziewanie cały kraj okrył się ciężką żałobą.

Wobec tego zebranie uchwaliło na wstępie jednomyślnie wstawić do porządku dziennego na pierwszem miejscu oddanie hołdu pamięci Wskrzesiciela niepodległości Polski i Wodza Narodu, poczem przewodniczący, dr. Bobrzyński, zabrał głos w następujących słowach:

„Szanowni Panowie!

W najbliższych dniach otworzą się podwoje grobów królewskich na Wawelu, aby przyjąć śmiertelne szczątki Tego, który zaiste godnym jest takiego miejsca spoczynku. Jako Związek Polskiej Myśli Państwowej, łączymy się z całym narodem w uczuciach najgłębszego żalu po stracie Wielkiego Wodza i Wielkiego Człowieka i jedyną w tym smutku pociechą jest głębokie nasze przekonanie, że chociaż odszedł od nas, jako żywy, to jednak duch Jego, pamięć Jego wielkich dzieł i kierunek, przez Niego Polsce nadany, pozostaną wśród nas w dalszym ciągu, dając błyszczące drogowskazy nowej historji Polski odrodzonej.

Jesteśmy też przekonani, że w miarę upływu czasu postać Jego i głębsze zrozumienie wartości Jego dzieła dla sprawy ojczystej będą bez żadnej wątpliwości potężniały, a ząb czasu i drobnostkowa krytyka historyczna załamią

się przed niezwykłą, mocarną postacią Wskrzesiciela niepodległej Polski.

Jeżeli spojrzymy wstecz na dzieje nasze z punktu widzenia prawdziwego objektywizmu, który — jak Panom wiadomo — stanowi główną podstawę naszej ideologji i naszego działania, to ujrzymy w rozpiętości kilku ostatnich wieków dwie wielkie postacie, różne od siebie sylwetką osobistą, ale podobne tężyzną oraz doniosłością podjętego przez nie dzieła: wzmocnienia autorytetu władzy i temsamem uporządkowania organizmu państwowego na wewnątrz, oraz podniesienia autorytetu Polski na zewnątrz dalekosiężną myślą i akcją polityczną. Te dwie postacie — to król Stefan Batory i Marszałek Józef Piłsusdki. Wszystkim innym wybitnym postaciom w dziejach naszych, które występowały na arenę historyczną w epoce między nimi, nie brakło dobrej woli, talentu, a często nawet chwilowych tryumfów, ale najniezawodniej brakło im tężyzny i mocy. I dlatego upadła dawna Rzeczpospolita.

Ś. p. Marszałek Piłsudski szczęśliwszym był od króla Batorego. Chociaż bowiem okresy ich władania Polską były mniejwięcej równe, to jednak dzieło Batorego, niedokończone, potargane zostało niebawem przez słabość następnych rządów i warcholstwo w narodzie. Natomiast Marszałek Piłsudski potrafił w takim samym mniejwięcej czasie doprowadzić do skutku, a przynajmniej do pewnego walnego etapu, oba Swe wielkie zamierzenia: zasadniczą naprawę ustroju państwa przez nową Konstytucję, która kładzie nareszcie kres anarchji oraz ugruntowanie autorytetu i bezpieczeństwa Polski na zewnątrz, zarówno przez mocną, zdecydowaną i celową politykę na arenie międzynarodowej, jak przedewszystkiem przez sparaliżowanie grożących nam do niedawna kleszczy niemiecko - rosyjskich zapomocą wprost genjalnej reasekuracji Polski na obie strony paktami o nieagresji, zawartymi osobno z Niem-

cami, a osobno z Rosją w kilkanaście lat po zwycięskiej z nią wojnie.

To też, odchodząc od nas, pozostawia kraj uporządkowany i w najgłówniejszych zarysach zabezpieczony. Można śmiało powiedzić, że obejmując faktycznie rządy dziewięć lat temu, zastał Polskę powtórnie skłóconą, zanarchizowaną i przez to osłabioną, a zostawia ją uporządkowaną, karną i potężną. Mimo głębokiego żalu i powszechnej żałoby, nie ogarnia nas dzisiaj uczucie lęku. Wydaje się, jakgdyby jeszcze był wśród nas i dalej nas prowadził. Machina państwowa i społeczna funkcjonuje w porządku, jakgdyby nic nie zaszło. Ludzie, przez Niego wyszkoleni, Jemu za życia integralnie oddani, prowadzą dalej państwo. I w tem właśnie — w tej dynamice, nadanej stworzonemu dziełu, umożliwiającej niewzruszoną jego kontynuację — leży największe piętno genjuszu. Zwykle bowiem wielcy ludzie pozostawiają pustkę i niepewność sytuacji za sobą, nieraz nawet rozterki i rewolucje. Józef Piłsudski zaś pozostawia swe dzieło, funkcjonujące w dalszym ciągu w całej pełni, jakgdyby stał ciągle jeszcze osobiście na jego straży. I dlatego na grobowcu Jego możnaby z całą słusznością i przekonaniem wyryć przepowiednię wielkiego rzymskiego poety:

Non omnis moriar...!

A dla naszego grona, dla Związku Polskiej Myśli Państwowej, wynika z tego również wyraźna wskazówka i doniosły obowiązek: kontynuować niewzruszenie i z większą jeszcze, niż dotąd, gorliwością i tężyzną nasze zadania, któreśmy rozpoczęli. Józef Piłsudski w całem Swem ofiarnem dla Polski życiu nie był nigdy człowiekiem konjunktur. Miał przed sobą od młodości wielki cel wskrzeszenia Polski i do tego celu niezłomnie dążył. Naśladujmy ten przykład w naszym skromnym zakresie działania! Wszak Zwią-

zek nasz także nie jest konjunkturalnym tworem, ale ma ściśle określone, ogólno - państwowe cele, na dalszą zakreślone metę. Dążenie do realizacji tych zadań, mimo wszelkich zmian konjunktur w kraju, jest naszym obowiązkiem i będzie zarazem najrealniejszym probierzem naszej osobistej tężyzny!

Stwierdzam, że Panowie oddaliście przez powstanie hołd pamięci Wielkiego Zmarłego."

Walne zebranie uchwaliło następnie wysłanie telegramów z wyrazami głębokiego żalu i żałoby do p. Premjera Sławka i p. Ministra Kościałkowskiego.

ZASADY WYTYCZNE POLSKIEGO USTROJU KORPORACYJNEGO.

Związek Polskiej Myśli Państwowej wyznaczył sobie, jako jedno z najważniejszych swych zadań, opracowanie zasad ustroju korporacyjnego i ich propagandę w szerokich sferach społeczeństwa, wychodząc z założenia, że poprawiona Konstytucja z 23 kwietnia 1935 jest wprawdzie bardzo doniosłym krokiem naprzód w dziedzinie Naprawy Rzeczpospolitej, ale bądź co bądź tylko pierwszym etapem na drodze do ustalenia w Polsce takiej ostatecznej formy ustrojowej, którąby odpowiadała naprawdę nowoczesnym warunkom życia państwowego i wymaganiom XX-go wieku.

Sami zresztą twórcy nowej Konstytucji zaznaczyli w swych okolicznościowych przemówieniach ten jej etapowy charakter. Jakkolwiek bowiem konstytucja ta obaliła wiele poprzednich usterek ustrojowych, wprowadziła w naszą strukturę państwową racjonalniejsze pojęcia, a nawet stworzyła nową pod pewnym względem koncepcję władzy w państwie, to jednak oparła się jeszcze w zasadzie na ogólnych podstawach „zdobyczy rewolucji francuskiej", które natchnęły wszystkie następne ustawy konstytucyjne na całym świecie.

Konstytucje te, na francuskich podstawach oparte, sprowadziły ze sobą w logicznem następstwie, względnie spotęgowały przedtem już zapoczątkowane, następujące zjawiska ujemne:

1) nadmierny rozwój partyjnictwa i namiętną, a najczęściej ślepą i bezcelową walkę sztucznie konstruowanych programów politycznych, często nieszczerych i w gruncie rzeczy uboczne raczej względy mających na celu,

2) walkę klasową i zasadniczą nienawiść społeczną, burzące zgóry wszelkie lepsze pierwiastki w społeczeństwie

i eliminujące tem samem osiągnięcie pozytywnych, prawdziwie korzystnych dla ogółu zamierzeń,

3) demagogję bezkrytycznych wyborów powszechnych, które w istocie swej są największem oszustwem XX-go wieku, mamiąc szeroki ogół utopją „woli ludu“, a nie dając mu możliwości rzetelnego wyboru według istotnych przekonań,

4) tarcia międzyzawodowe, które stosunkowo słabiej od powyższych trzech momentów się ujawniają, niemniej jednak istnieją, a niekiedy nawet ostro występują ze szkodą dla państwa, społeczeństwa i gospodarstwa narodowego.

Dodać wreszcie należy, że wszystkie powyższe, wielce ujemne zjawiska sprowadzają z natury rzeczy dyktaturę społeczno - polityczną lub gospodarczą pewnych sprytnych jednostek lub niemniej sprytnych nielicznych grup, zazwyczaj skrajnie egoistycznych, nad ogółem, który, oddany ciężkiej codziennej pracy zawodowej, nie ma możności ani istotnie wpływać w odpowiednim stopniu na życie i losy państwa i gospodarstwa narodowego, ani kontrolować głębiej egoistyczne, nieraz wprost oszukańcze pociągnięcia wymienionych grup czy jednostek.

Mimo wszelkich więc poprawek, te cztery wyżej wymienione, walne momenty ujemne tkwią jeszcze zasadniczo w naszej poprawionej ustawie konstytucyjnej. Ich wyeliminowanie więc, a przynajmniej zredukowanie do nieszkodliwego minimum, jest kardynalnym postulatem ostatecznego, prawdziwie nowoczesnego ustroju Państwa polskiego i ukoronowaniem dzieła Naprawy. A to zadanie spełnić może tylko racjonalnie unormowany ustrój korporacyjny.

Dlatego Związek Polskiej Myśli Państwowej, a w szczególności jego Sekcja dla ustroju korporacyjnego, w przewidywaniu dalszej ewolucji stosunków, zmierzającej w organicznej konsekwencji do tego systemu ustrojowego, podjęły inicjatywę opracowania norm i propagowania zasad

korporacyjnych, z zastrzeżeniem jednak dwóch podstawowych warunków:

1) że ruch w tym kierunku wyjdzie z dołu, ze swobodnej inicjatywy prywatnej społeczeństwa, tak, aby idea korporacjonizmu ugruntowała się już w społeczeństwie, zanim otrzyma ostateczne normy i sankcję ze strony czynników ustawodawczych i rządzących; zachodzi bowiem uzasadniona obawa, że wszelkie narzucenie ustroju korporacyjnego z góry, przez czynniki rządzące, sprowadzi w konsekwencji niewolę społeczną w większym lub mniejszym stopniu i wyjdzie w praktyce na socjalizację lub conajmniej daleko posuniętą etatyzację stosunków,

2) że w koncepcji polskiego ustroju korporacyjnego nie należy naśladować żadnych wzorów obcych, ale musi on być oryginalnie i dokładnie dostosowany do specyficznych polskich stosunków oraz do swoistej mentalności i charakteru społeczeństwa polskiego.

Z tych założeń wynikają dla ustroju korporacyjnego w Polsce następujące tezy zasadnicze, które przyszła konstytucja polskiego państwa korporacyjnego winna oczywiście odpowiednio uporządkować, pogłębić i sprecyzować.

I. Ponieważ w logicznem rozumowaniu nie może ulegać wątpliwości, że w stosunku między państwem — i wogóle każdą zbiorowością — a jednostką głównym celem wszelkiego ustroju jest dobro jednostki, a państwo lub wszelka inna zbiorowość są tylko środkiem do osiągnięcia tego celu, przeto w racjonalnym ustroju korporacyjnym, mającym stale, a więc nie dla chwilowych względów, regulować wyżej wspomniany stosunek, głębiej pojęte dobro i rzetelna, uczciwa korzyść moralna i materjalna jednostki stanowić muszą naturalny drogowskaz dla prawodawcy. Tak pojęte dobro i korzyść jednostki nie mogą być stale poświęcane dla różnorodnych koncepcji zbiorowych. Może państwo lub inna zbiorowość wymagać w pewnych krytycznych momentach nawet daleko idących, jednorazowych

ofiar od jednostki, ale stałe przeciążanie jednostki wymaganiami, hamującemi lub niszczącemi jej swobodny a godziwy rozwój moralny, czy materjalny, sprzeciwia się logice i racji bytu wszelkiej zbiorowości, a więc i państwa. Bo przecież dla korzyści swej, a nie dla szkody, łączą się jednostki w coraz wyższe zespoły zbiorowości. Rzecz przytem oczywista, że dla racjonalnego przeprowadzenia tej tezy winien wszelki ustrój hamować nadużycia egoizmu poszczególnych jednostek, gdyż wówczas cel tworzenia przez nie zbiorowości doznaje również wypaczenia.

Stąd wynika oczywista konsekwencja, że ustrój korporacyjny, zwłaszcza dostosowany do specjalnych warunków indywidualizmu polskiego, nie może mieć żadnego etatystycznego charakteru i to tembardziej, że wszelki nadmierny przymus wywołuje prawem reakcji w szerokich rozmiarach tendencje w społeczeństwie obejścia tego nadmiernego ciężaru, skąd z jednej strony maleje poczucie etyczne i solidność w społeczeństwie, z drugiej zaś wzmaga się nowy ciężar w postaci nadmiaru rozrosłego, biurokratycznego aparatu kontrolnego państwa.

II. Racjonalny polski ustrój korporacyjny winien więc uzgodnić i stopić w jednolitą, ale przytem z przekonania ogółu jednostek wypływającą całość: jednostkę, państwo i aparat rządzący państwem — przy możliwie jaknajdalej idącem zachowaniu swobody twórczości oraz moralnego i materjalnego podnoszenia się jednostek, eliminując zarazem dotychczasowy organiczny antagonizm między tymi trzema czynnikami. Realizacja tego postulatu leży tylko na drodze stanowczego usunięcia systemu wszelakich powszechnych, na bezkrytycznej doktrynie fikcyjnej równości opartych wyborów, a zastąpienia go racjonalnym systemem reprezentacji, opartym na podstawie delegacji zawodowych.

System ten jednak musi być tak skonstruowany, aby,

eliminując sam przez się idee przeciwieństw partyjno - politycznych, walki klasowej i zawiści klas społecznych — dotąd wciąż jeszcze, mimo wszelkiej demokratyzacji, nawet bolszewickiej, poziomo, jedna nad drugą, według stanu posiadania uwarstwowionych — zapobiegł wzmożeniu się walk międzyzawodowych, które w ustroju korporacyjnym z niebywałą przedtem wybuchnąć mogą siłą.

III. Przy ustalaniu norm ustroju korporacyjnego, a więc opartego na przesłankach zawodowych, rozwiązać należy również racjonalnie pierwszorzędną stronę, kwestję ogólnej polityki państwowej, wewnętrznej i zewnętrznej. Bez tej bowiem państwo oczywiście obyć się nie może, a wyeliminowanie jej zupełne z zakresu zainteresowań społeczeństwa i powierzenie jej wyłącznie w ręce pewnej, osobowo nielicznej instytucji państwowej, np. rządu, byłoby ze wszech względów szkodliwem, a przedewszystkiem skierowałoby społeczeństwo na tory grubego materjalizmu.

Wyjście z tego problemu może być takie, że o ile najniższe komórki w ustroju korporacyjnym zajmować się winny przeważnie tylko interesami zawodowymi, to w wyższych kondygnacjach zbiorowych ustroju wchodzić winien w odpowiednio coraz wyższym rozmiarze także i moment ogólno - polityczny, poczynając od zakresu lokalnego, a kończąc — w najwyższej kondygnacji ustrojowej — na najszerszym zakresie politycznych spraw państwowych wewnętrznych i zagranicznych.

Zrozumiałą jest bowiem rzeczą, że dany zawodowiec, należący do najniższego zespołu zawodowego w wąskim okręgu, zajmować się winien i będzie głównie oczywiście interesami fachowymi, ale w miarę jego delegacyjnego wyboru do coraz wyższych kondygnacji ustrojowych musi z natury rzeczy zająć się, obok tego, w coraz szerszym zakresie także sprawami ogólnemi, a więc politycznemi.

IV. Naczelną zasadą ustroju korporacyjnego jest przeciwstawienie dotychczasowemu, wyżej wspomnianemu

podziałowi społeczeństwa na poziome warstwy klasowe, skłócone ze sobą zawiścią, wynikająca z różnic stanu posiadania i dochodu, pionowo zorganizowanych korporacji zawodowych, łączących w imię dobrze zrozumianego wspólnego interesu wszystkich pracowników danego zawodu i wszystkie wogóle jednostki w nim bezpośrednio zainteresowane. W ten sposób — oczywiście przy racjonalnem unormowaniu funkcjonowania każdej poszczególnej korporacji — znika sam przez się antagonizm między światem pracy a kapitału oraz między światem twórczego intelektu a wykonawczym. Ważnym jest jednak postulatem wprowadzenia takiego ustroju w Polsce, żeby akces do korporacji był pozostawiony swobodnej decyzji każdego obywatela. Niechże zniewoli go do tego głębsze przekonanie o korzyści należenia do korporacji, niż pozostanie poza nią, bez żadnej oczywiście opieki ustrojowej, a tylko z ciężarem wykonywania obowiązków względem państwa.

W gruncie rzeczy każda więc z pewnością jednostka nie będzie miała innego wyboru, jak przystąpienie do korporacji, gdyż inaczej uczułaby się wyeliminowaną praktycznie poza nawias wszelkich korzyści, jakie państwo daje, a obarczoną tylko obowiązkami. Byłby to więc w istocie pewien rodzaj przymusu, tylko, że nie określonego żadną ustawą. Ale w tem właśnie — w tej swobodzie wyboru — leżeć będzie zasadniczy charakter polskiego ustroju korporacyjnego, który uczyni zadość wymaganiom polskiej psychiki indywidualistycznej i przedewszystkiem odetnie nas ostro od wszelkiej doktryny społecznego przymusu, a więc i od doktryny Marksa. Socjalizm i komunizm stracą w Polsce wszelką rację bytu i wszelką atrakcję dla mas.

V. W wykonaniu powyższych założeń winny być wprowadzone do polskiego ustroju korporacyjnego dwa pojęcia strukturalne: cykle zawodowe i szczeble ustrojowe.

Cykl zawodowy jest to pojęcie i zarazem norma ustrojowa, zespalająca w jedną z korporacji w państwie wszyst-

kich obywateli, którzy zawodem swym są zainteresowani w pewnej gałęzi produkcji, umysłowej lub materjalnej — i to na całej drodze od wytwarzania danego objektu zawodowego, aż do jego zużytkowania przez bezpośrednie dostarczanie konsumentom. W konsekwencji należeć więc winni do danej korporacji nietylko ci, którzy bezpośrednio daną gałąź produkcji uprawiają, ale i ci również, którzy do danego cyklu, jaki produkt przechodzi od źródła swego powstania do konsumenta, choćby ubocznie się przyczyniają.

Naprzykład do cyklu — a więc i korporacji — wytwarzania i zużytkowania zboża winni należeć nietylko rolnicy i kupcy zbożowi, lecz także młynarze, piekarze, cukiernicy, browarnicy i t. d., oczywiście **wszyscy,** t. j. zarówno właściciele gruntów i przedsiębiorstw, jak ich funkcjonarjusze, robotnicy oraz wogóle te wszystkie osoby, które w jakikolwiek sposób, choćby fachowem piórem, do całokształtu cyklu zbożowego się przyczyniają.

Równocześnie jednak uczestnicy tej korporacji zbożowej mogą być uczestnikami także innych korporacji, które częściowo w orbitę cyklu zbożowego i ich zawodu wchodzą, a jednak do całkiem innego cyklu produkcji należą. Np. rolnik, wytwarzający, oprócz zboża, także surowce włókiennicze, jak len lub wełnę, należeć winien równocześnie także do cyklu produkcji odzieżowej (czy jak go inaczej się nazwie). Może też równocześnie należeć do innej jeszcze korporacji, o ile odpowiednie nastawienie uprzemysłowienia jego warsztatu pracy (np. mięso, mleczarstwo, cukrownia, wyrób cegieł i t. p.) tego wymaga.

Wynika stąd naturalnie i zawodowo logiczna koncepcja równoczesnej przynależności jednostki do ewentualnie kilku odrębnych korporacji. Wprowadzi to zarazem pożądaną równowagę traktowania, popierania i regulowania różnorodnych interesów gospodarczych i wogóle zawodowych, skupionych z natury rzeczy lub przypadkiem w jednym i tym samym warsztacie pracy. Wywoła równocze-

śnie większe wzajemne zrozumienie wspólnego interesu między poszczególnemi korporacjami, jako reprezentującemi poszczególne cykle produkcji (zawodu), skoro ten sam właściciel warsztatu, czy wogóle uczestnik pewnej korporacji, będzie mógł reprezentować różne strony zawodowe swego warsztatu w różnych odpowiednich korporacjach.

Z tego samego tytułu jasnem jest, że np. księgarz - wydawca należeć będzie nietylko do odnośnego cyklu handlowego (którego rozmiarów i natury nie chcemy narazie przesądzać), ale również i do odpowiedniego cyklu przemysłowego, mającego do czynienia z papiernictwem i z drukarstwem, oraz do odpowiedniego cyklu pracy czysto intelektualnej.

Tak więc cykle zawodowe i oparte na nich poszczególne korporacje, stojące obok siebie pionowo, będą równocześnie częściowo się nakrywać różnymi swymi odcinkami i przez to tem bardziej harmonizować pracę ludzką i łagodzić możliwe tarcia międzyzawodowe. Każdy uczestnik korporacji zrozumie wówczas tem lepiej, że los i interes jednej gałęzi zawodowej w państwie zależy w większym lub mniejszym stopniu od interesu innych gałęzi zawodowych, nieraz nawet specjalnością swą pozornie daleko od siebie odległych.

W ten sposób utworzone być winny poszczególne korporacje, jako ustrojowe organy cyklów zawodowych, czyli cyklów produkcji. Dokładne ich ustalenie co do liczby i zakresu wychodzi narazie poza ramy niniejszego szkicu ogólnego. W każdym jednak razie ilości cyklów, a więc i korporacji, nie należy konstytucyjnie ograniczać i petryfikować, gdyż w miarę rozwoju kultury i wytwórczości krajowej może zajść potrzeba dodatkowego tworzenia dalszych korporacji. Konstytucja więc korporacyjna winna ustalić wyraźnie warunki i normy tworzenia nowych korporacji.

VI. Pod względem swej organizacji wewnętrznej składać się winna każda korporacja z coraz wyższych organizacji, a mianowicie trójstopniowych.

Najniższy stopień, to pojedyncze fachowe związki zawodowe, wszchstanowe, obejmujące jednostronnie pewną gałąź wytwórczości w pewnym niewielkim ikręgu. I tu jednak uczestnicy takiej najniższej komórki, o ile zajęcia ich odpowiadają różnym stronom danej korporacji lub różnym cyklom, mogą równocześnie należeć do innych odpowiednich najniższych komórek. W tych najniższych komórkach grać będą rolę przeważnie tylko lokalne interesy danego zawodu, a ogólna działalność dla sprawy publicznej, która podpada pod pojęcie polityki, żadnej, albo prawie żadnej nie będzie grać roli.

Komórki te zasadnicze wybierają w jawnem głosowaniu imiennem swych delegatów (mężów zaufania) — których kwalifikacje muszą być ustawowo ustalone — do wyższego szczebla organizacji korporacyjnej, która łączyć będzie przedstawicielstwa wszystkich komórek jednej korporacji z pewnego szerszego okręgu, np. wojewódzkiego. Tu rewizja granic poszczególnych województw według naturalnych właściwości regjonalnych, a z pominięciem wszelkich tradycji historyczno - politycznych, narzuca się sama przez się.

Jak na czele każdej najniższej komórki stać winien Wydział zawodowy, tak na czele organizacji wojewódzkiej w łonie każdej korporacji winien stać Wydział wojewódzki, wybierany, jak wyżej podano. W tym wydziale drugiego stopnia, oprócz spraw zawodowych danej korporacji, musi z natury rzeczy znaleźć wyraz także pewna ogólna polityka regjonalna, oczywiście ściśle rzeczowa, z ustawowem wykluczeniem wszystkiego, coby przypominało partyjnictwo lub walkę klasową. Niewolno tam tworzyć żadnych klubów, choćby nieoficjalnych, ani innych stałych zgrupowań o charakterze politycznym, społecznym, gospodarczym, czy jakimkolwiek innym. Niewolno tworzyć — nawet choćby tylko przez rozkład miejsc w sali obrad Wydziału — jakiegokolwiek podziału według usposobień członków, prawicowych, lewicowych, centrowych, według

różnic kulturalnych lub majątkowych, a zwłaszcza według stanowiska i funkcji, jakie członkowie Wydziału posiadają w przedsiębiorstwach, w których biorą udział. Różnica między kapitałem a pracą, oraz między pracą intelektualną czy kierującą a fizyczną musi być surowym regulaminem i innymi środkami kategorycznie zniesiona. Natomiast nie można zabronić, ani zapobiec, żeby członkowie Wydziału w różnych poszczególnych kwestjach i zadaniach, będących na porządku dziennym, nie mieli ścierać się między sobą lub wytwarzać chwilowych w czasie zebrania porozumień, popierających lub zwalczających daną konkretną sprawę. Ale podstawą tych scysji opinji, nieraz bardzo pożądanych i twórczych, może być tylko czysty objektywizm, na którego straży stać musi nieugięcie kierownictwo Wydziału.

Wydziały wojewódzkie wysyłają, znowu jawnym, imiennym wyborem, swych delegatów (mężów zaufania) do Rady korporacyjnej, stojącej na czele całej korporacji. W Radzie korporacyjnej, poza głównem jej zadaniem, t. j. rozwiązywaniem zagadnień danej korporacji, wchodzi w grę oczywiście w jeszcze wyższym stopniu moment ogólno - polityczny, gdyż np. niepodobna racjonalnie deliberować nad kwestjami produkcji, importu, eksportu i t. d. bez brania pod uwagę wewnętrznych i zewnętrznych postulatów ogólnej polityki krajowej.

Rady korporacyjne wszystkich korporacji wysyłają z pośród siebie delegatów do Sejmu korporacyjnego, w którym, oprócz uzgadniania spraw zawodowych całego państwa i ustalania ogólnych norm zapomocą ustawodawstwa, ogólne kwestje polityczne winny grać już równorzędną rolę, ale również z zastrzeżeniem ścisłego objektywizmu i z wykluczeniem tworzenia się jakichkolwiek stałych zgrupowań politycznych, gospodarczych lub klasowo - społecznych, czy wreszcie ekskluzywnie zawodowych. Sejm ten winien być oczywiście nieliczny — stu do stukilkudziesięciu członków — i musi być całym swym składem i genezą wy-

razem powagi i ustawodawczego autorytetu. Surowe w tym względzie postanowienia winny ułatwiać odbieranie mandatów delegatom (wyraz „poseł“ znosi się kategorycznie w ustroju korporacyjnym), któryby wykraczali w jaskrawy sposób przeciw powadze Sejmu lub próbowali wnieść do niego partyjnictwo czy walkę klasową.

VII. Poza całym tym ustrojem korporacyjnym istnieć musi z natury rzeczy pewien najniezbędniejszy administracyjny szkielet państwowy, a więc starostwa, województwa, centralne władze rządowe z ministrami na czele. Ministrowie, mianowani przez Głowę państwa, będą w odpowiednim stopniu odpowiedzialni także przed Sejmem korporacyjnym.

Ale ten aparat administracyjny — jak również odrębny aparat sądowy — muszą być, za jedynym wyjątkiem ministrów, również z ustrojem korporacyjnym pewnemi stronami swego funkcjonowania związane, gdyż urzędnicy państwowi różnych kategorji fachowych muszą z obowiązku należeć do odpowiednich cyklów zawodowych czyli korporacji. W ten sposób moment urzędowy, nie tracąc nic ze swej specjalności, stopiony będzie z momentem obywatelskim, co jest jednym z najważniejszych postulatów epoki prawdziwie oświeconej, w jaką wchodzimy.

Że wobec tego wszystkiego odpada dotychczasowy aparat samorządowy, terytorjalny lub inny, to w wyżej naszkicowanym ustroju korporacyjnym samo się przez się rozumie.

Trzeba jednak rozgraniczyć dokładnie stosunek i zakres kompetencji między aparatem administracyjnym państwa, zredukowanym do najniezbędniejszego minimum, a aparatem korporacyjnym, gdyż żaden z tych apartów nie może być podporządkowany drugiemu, ale oba stanowić mają tylko jakgdyby dwa oblicza tej samej rzeczy — ustroju państwa.

Całkiem odrębne stanowisko poza ustrojem korpora-

cyjnym zajmować musi Kościół katolicki — względnie organizacje innych wyznań, przez państwo uznanych — oraz armja, o ile ktokolwiek z członków tych organizacji działalnością swą prywatną nie podpada pod pojęcie danego cyklu produkcji. Ksiądz więc, stale zajmujący się publicystyką lub zawodem nauczycielskim w szkołach, albo wojskowy, będący fachowcem w jakimś cywilnym cyklu produkcji (np. w technice wogóle), mogą należeć do odpowiednich korporacji. Podobnie należeć mają do nich sędziowie, jako prawnicy, a natomiast samo wykonywanie przez nich orzecznictwa sądowego wychodzić ma poza ramy korporacji, a więc posiadać należytą swobodę i niezależność.

Oczywiście jednak, że normy ustawodawcze dla armji i sądownictwa oraz dla organizacji wyznaniowej, o ile podpada pod ustawodawstwo państwowe, należą do kompetencji Sejmu korporacyjnego.

Pozatem ustrój korporacyjny nie przesądza zgóry takich kwestji ogólnych, jak np. oznaczenie źródła władzy w państwie i uprawnień Głowy państwa. Ale z samego porządku i ładu, jaki ustrój korporacyjny do państwa wprowadza, wynika wyraźny postulat silnej władzy państwowej i daleko sięgających uprawnień dla Głowy państwa.

Czy oprócz Sejmu korporacyjnego, wybranego na podstawie jawnych, czterostopniowych wyborów imiennych — poczynając od najniższych komórek zawodowych — i złożonego z fachowych delegatów, należy stworzyć jeszcze jakąś drugą Izbę ustawodawczą o charakterze senatu, to kwestja dyskusji, ale wydaje się to zbędnem, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jeżeli bowiem Sejm korporacyjny wyposażony zostanie w odpowiedni charakter fachowej rozwagi i ogólnego, wyższego autorytetu, to — zwłaszcza przy nielicznym jego składzie — ustanowienie jeszcze drugiej Izby, o bądź co bądź podobnym charakterze, utrudniłoby tylko sprawność aparatu ustawodawczego bez żadnej istotnej potrzeby.

VIII. Kościół katolicki — i inne wyznania — nie powinny być, w swej organizacji i w wykonywaniu swej wysokiej misji moralnej, niczem związane z ustrojem korporacyjnym (oprócz wyżej wspomnianych indywidualnych wypadków zawodowych, pozakościelnych). Duchowni nie powinni brać udziału ani w Sejmie korporacyjnym, ani w Radach korporacyjnych i Wydziałach niższych kategorji, chyba tylko w najniższych komórkach ustroju, ściśle fachowo - zawodowych i to tylko z racji indywidualnej swej pracy pozakościelnej. Autorytet bowiem i głos Kościoła, wychodzący z nadrzędnego stanowiska, daleko większe będzie miał znaczenie, niż bezpośrednia ingerencja kleru w zmaganiach, jakie z natury rzeczy toczyć się będą w korporacjach, chociaż zmagania te całkiem inny będą miały charakter od dotychczasowego partyjnictwa i walki klasowej. Stosunek Kościoła do państwa winien być ustalony tylko konkordatem i oczywiście wiarą jego wyznawców.

W ten sposób urzeczywistni się jeden z najważniejszych praktycznych i moralnych postulatów obecnej doby: kapłan stanie się bezpartyjnym.

Zbudowanie sobie samemu przez społeczeństwo polskie ustroju według powyższych zadań, a następnie ostateczne unormowanie i zatwierdzenie go przez czynniki miarodajne, ustawodawcze i rządzące, nietylko stopi w pewną racjonalną jedność nasz ustrój społeczny i państwowy, eliminując wszelakie kategorje walk społeczno - politycznych, ale sprowadzi ze sobą w naturalnej konsekwencji ogólną normalizację życia i wszelakiej wytwórczości społecznej oraz regulację stosunków gospodarczych, nie naruszając dogmatycznej dla nas zasady swobody indywidualnej i własności prywatnej — bez czego ustrój korporacyjny asymiluje się odrazu z socjalistycznym. Wyeliminuje też bezkrytyczne, nawskroś demagogiczne hasło rzekomej równości między ludźmi, która jest utopją i do której pretensjonalne

dążenie wzmaga właśnie walkę społeczną. Na tem miejscu ugruntuje się u każdej jednostki poczucie własnej użyteczności w ogólnych, zbiorowych cyklach pracy i wytwórczości państwowej. The right man on the right place — właściwy człowiek na właściwem dla niego miejscu — oto ostateczny rezultat społeczny, gospodarczy i państwowy racjonalnie zbudowanego ustroju korporacyjnego, w przeciwieństwie do wszelakich ustrojów, zbudowanych na ideologji partyjno - politycznej lub klasowej.

Dalszym rezultatem organicznym będzie powszechne, świadome lub podświadome, uznanie kwalifikacji i kompetencji każdej jednostki i prawnie ustabilizowanego zbioru jednostek (delegacji czy danej kondygnacji korporacyjnej) w danym zakresie. Zniknie sam przez się tak dziś rozpowszechniony kult niekompetencji, a przez to dorywczość i niepewność stosunków.

Wreszcie zracjonalizuje się życie gospodarcze, oparte dzisiaj na konwulsyjnych drganiach, na krótkowzrocznym aktualiźmie i na różnych przedpotopowych regułach prawnych, komercjalnych i fiskalnych, które wbiły się od szeregu pokoleń tak mocno w mentalność wszystkich sfer gospodarczych, wytworzyły w nich tak zakostniały, ultra - konserwatywny, uświęcony „system ustabilizowany", że — poza dorywczem nalepianiem angielskich plasterków na pewne zewnętrzne symptomaty ciężkiej choroby tego systemu — o żadnym prawdziwie racjonalnym i skutecznym starcie w kierunku gruntownej naprawy mowy być nie może. Przełamanie tego zakostniałego systemu myślenia i działania, samobójczego dla podstaw racjonalnego kapitalizmu, przyniesie bez żadnej wątpliwości ustrój korporacyjny, eliminując bezkrytyczne, zbyt konserwatywne doktryny i nadmierny egoizm doraźnego zarobku bez myśli o jutrze. Zracjonalizowane w ten sposób życie gospodarcze, uzgodnione z interesem państwa i ogółu, stanie się materjalnem błogosławieństwem dla społeczeństwa, kiedy dzisiaj jest dla

niego pod wielu względami nieznośnym, chorobliwie wybujałym i społecznie skomplikowanym ciężarem.

Dla informacji o genezie naszego projektu ustroju korporacyjnego, który w powyższej formie jest oczywiście dopiero pierwszym, surowym materjałem dla dalszych prac, przypominamy, że w ogólnych zasadach została sprawa ta omówiona w Związku Polskiej Myśli Państwowej po raz pierwszy na licznem zebraniu Sekcji dla ustroju korporacyjnego w lutym b. r., z czego obszerne sprawozdanie, z przemówieniami poważnych referentów z Warszawy, Wilna, Poznania i Lublina, podaliśmy w poprzednim tomie Naszej Przyszłości. Następnie zebrała się Sekcja ta w mniejszem gronie, przedyskutowła raz jeszcze sprawę, ustaliła jako realny cel główny opracowanie projektu Konstytucji korporacyjnej i wyłoniła podkomisję z trzech osób dla skonkretyzowania pierwszych wytycznych zasadniczych.

Zszedłszy więc z góry, od plenarnej Sekcji, aż w dół do szczupłej podkomisji, pójdzie teraz projekt nasz korporacyjny znowu w górę, pod obrady coraz wyższych kondygnacji w Związku, przejdzie przez odpowiedni alembik krytyki i opinji różnych rzeczoznawców, uzupełniając się i rozszerzając do rozmiarów obszernego projektu ostatecznego, aż wreszcie w formie dojrzałego elaboratu rzucony będzie w szerokie sfery społeczeństwa i podtrzymany tam nieustanną akcją — aż do skutku.

Podkomisja Sekcji dla ustroju korporacyjnego Związku Polskiej Myśli Państwowej

---

W WALCE Z „GŁOSEM NARODU" O TĘŻYZNĘ NARODOWĄ.

Na marginesie sprawy kanonizacji królowej Jadwigi.

Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że prowadząc walkę z „Głosem Narodu", robimy przedewszystkiem znaczną reklamę temu krakowskiemu dziennikowi. Wprawdzie bowiem „Głos Narodu", jako gazeta codzienna, posiada z pewnością więcej czytelników, niż nasz poważny miesięcznik, wychodzący w dużym, książkowym formacie, ale z drugiej strony wpływ jego ogranicza się przeważnie tylko do pewnego szczuplejszego okręgu południowo-zachodniej Polski — dokoła Krakowa. Tymczasem Nasza Przyszłość rozchodzi się równomiernie we wszystkich dzielnicach państwa, od Górnego Śląska po Wileńszczyznę i od Wielkoposki i Pomorza aż do Wołynia i Pokucia. A niestety — jak to z miesięcznikami często bywa — dziesięć razy więcej mamy czytelników, niż płacących prenumeratorów. I stąd — powtarzamy: niestety! — ilość czytelników Naszej Przyszłości jest zapewne nie o wiele mniejszą od liczby czytelników „Głosu Narodu". Dlatego z całą pewnością oddajemy przysługę temu krakowskiemu dziennikowi, skoro dowiadują się o nim ludzie nawet tam, gdzie o „Głosie Narodu" dotąd wcale, albo prawie wcale nawet nie słyszano.

Dlaczego jednak Nasza Przyszłość, która na głosy prasy prawie nigdy nie reaguje, podjęła tak systematyczną kampanję z „Głosem Narodu"? Przecież są dzienniki i wogóle perjodyki daleko bardziej ideologją od nas odległe, nieraz nas zażarcie atakujące, a jednak na ich ataki wcale nie odpowiadamy, nawet wówczas, gdy atakują nas w spo-

sób nieprzyzwoity. Skąd więc ten — niewątpliwie zaszczytny wyjątek dla „Głosu Narodu"?

To już nasza tajemnica. Nasz czytelnik słusznie może mniemać, że tu o coś więcej chodzi, niż o zdawkową kampanję prasową, skoro jej zresztą wcale nie uprawiamy. Ale tajemnicy tej nie zdradzimy. Niech każdy myśli o tem, co chce i jak chce!

Otóż „Głos Narodu" z 1-go maja b. r. zaszczycił naszego wydawcę następującym artykułem, który — pro aeterna rei memoria — niniejszem w całości zamieszczamy:

W konserwatywnym miesięczniku „Nasza Przyszłość" (luty — marzec 1935) wystąpił Jan Bobrzyński z gorącym apelem do katolików Polski o zdwojenie wysiłków w sprawie kanonizacji królowej Jadwigi. Chęć jest niewątpliwie chwalebna zastrzeżania jednak musi budzić charakter wystąpienia p. J. Bobrzyńskiego.

P. Bobrzyński był — zdaje się — inicjatorem (oczywiście w ostatnich latach) beatyfikacji królowej Jadwigi. Sprawa jest dziś w stadjum powolnej realizacji i przeszła do kompetencji władz kościelnych. P. Bobrzyńskiemu to nie wystarcza. Skarży się w „Naszej Przyszłości" na „milczenie" społeczeństwa, nawet na „słabość różnych sfer duchownych". W końcu wzywa społeczeństwo do „zgodnego rozumnego porywu", do akcji zbiorowej na rzecz beatyfikacji Jadwigi. A tem swój apel popiera takiemi argumentami:

„Sprawa królowej Jadwigi, jako probierz tężyzny dążeń narodu polskiego, jest takiem samem zagadnieniem, jak kwestja naprawy ustroju państwa... jak wygranie sprawy bałtyckiej"; „chodzi tu o prawdziwą próbę dojrzałości społeczno-politycznej" naszego narodu..."

P. dr. Bobrzyńskiemu chodzi jeszcze o to, by beatyfikacja Jadwigi zniszczyła nasz „domorosły nacjonalizm" i „najnieetyczniejszą ideologię (tego obozu), jaka kiedykolwiek istniała w polskim narodzie". W walce z tą ‚ideologią" polskiego nacjonalizmu idzie p. Bobrzyński tak daleko, że nawet postępowanie bolszewików (!) uważa za rozsądniejsze i uczciwsze, niż postępowanie polskich „nacjonalistów".

Wystąpienia p. Bobrzyńskiego nie można pominąć milczenem. Z dwóch powodów:

1) P. Bobrzyński wie, a przynajmniej powinien wiedzieć, że beatyfikacja ma określone przez prawo kościelne warunki. I nic nie pomoże organizowanie akcji masowej, zebrań i t. p., jeśli te warunki nie są spełnione. Beatyfikacja bowiem nie jest głosowaniem obywateli podczas wyborów.

2) P. Bobrzyński przypomina, że inicjatywa prac nad beatyfikacją Jadwigi wyszła od niego. Już ten jeden wzgląd winien go był wstrzymać od wycieczek przeciw obozowi „domorosłego nacjonalizmu", który kwalifikuje gorzej od bolszewizmu, i który chciałby przy pomocy beatyfikacji

Jadwigi widzieć zniszczonym. Z tym obozem polskiego nacjonalizmu nic nas nie łączy. W interesie jednak samej świętej sprawy, o którą p. Bobrzyński tak nieszczęśliwie walczy, trzeba z całym naciskiem powiedzieć, że nie wolno robić partyjno - politycznej rozgrywki ze sprawy ściśle i wyłącznie religijnej, jaką jest sprawa beatyfikacji Jadwigi. To-samo należy powiedzieć o innych argumentach p. Bobrzyńskiego. Nie można ściśle religijnej sprawy beatyfikacji, zmieniać w „próbę dojrzałości społeczno - politycznej" Polski, lub w coś podobnego do „sprawy bałtyckiej". Byłoby to bowiem ściąganiem świętości na poziom polityczny.

J. P.

Artykuł ten, na tle sprawy, o którą chodzi, na tle całej obecnej sytuacji w kraju, wart jest dokładnej, głębszej analizy, gdyż odzwierciedla wiernie mentalność pewnych sfer naszego społeczeństwa i jego prasy.

O co właściwie chodzi?

Niedawno temu zabłysła Bazylika św. Piotra w Rzymie, od fundamentów aż do szczytu kopuły, wspaniałą iluminacją tysięcy lamp na uroczystość kanonizacyjną dwóch nowych **angielskich Świętych:** sir Tomasza More'a i Johna Fishera. Co wie przeciętny polski czytelnik, nawet dość wykształcony, o tych dwóch Anglikach? Przeważnie nic. Dowiedział się z głosów prasy, ilustrowanych fotografją iluminowanej Bazyliki, że tacy dwaj świętobliwi mężowie w Anglji istnieli i obaj naraz zostali kanonizowani.

Zapewne, musiały być przedłożone Papieżowi i sądowi duchownemu odpowiednie materjały, uzasadniając orzeczenie kanonizacyjne. Bez tego o kanonizacji nie mogło było być mowy. Ale kto postarał się energicznie o zebranie, przedłożenie i odpowiednie poparcie tych materjałów? Kto na ich podstawie przypilnował — skuteczne przeprowadzenie procesu? Dzielny naród angielski, a raczej tylko mniejsza część tego narodu, skoro znaczna jego większość jest niekatolickiego wyznania. Niekatolickim jest tam monarcha i rząd, niekatolickiemi są najwpływowsze, najbardziej miarodajne sfery olbrzymiego imperjum brytyjskiego.

A jednak dla swych rodzimych dwóch świętobliwych mężów, których nazwiska dla reszty świata ostatecznie nie-

wiele mówią, katoliccy Anglicy potrafili proces kanonizacyjny przeprowadzić!

Dzielny naród, niema co mówić, który umie myśleć dalekosiężnie w każdej sprawie i podjęte zadania przeprowadzać!

To samo zrobiła półmasońska Francja przed wojną, gdy różnice szczepowe — jednak bardzo znaczne w tym kraju — zaczęły spoistość jego zlekka rozluźniać, a moralność w całem państwie z innych przyczyn znacznie upadła. Skupiono się wówczas pod sztandarem Joanny d'Arc i jej kanonizacja, obchodzona po dziś dzień uroczyście, z olbrzymim nakładem środków, skonsolidowała i podniosła ducha narodowego.

Tak umieją działać Anglicy, Francuzi i inni... Tak umieją działać dzielni katolicy w krajach nawet niekatolickich lub wprost katolicyzmowi wrogich.

Ależ bo te narody, silne, historycznie wyrobione, znają pewną wysoką sztukę, w Polsce od niepamiętnych czasów zupełnie nieznaną: konsekwentnego rozwiązywania doniosłych, żywotnych zadań narodowych lub państwowych na dalszą metę.

U nas, w Polsce, od szeregu wieków uprawia się płaski, zaściankowy, bezmyślny, głupkowato - partyjny aktualizm, na podłożu głęboko wkorzenionego warcholstwa. Dlatego też i tak doniosłe, moralno - polityczne zadanie narodowe, jakiem jest bez żadnej wątpliwości osiągnięcie kanonizacji królowej Jadwigi, aczkolwiek wielokrotnie podejmowane, kończyło się zawsze na niczem.

A kończyło się na niczem nie dla jakichkolwiek przeszkód natury kanonicznej, bo do samego procesu, któryby takie przeszkody, czy trudności ewentualnie mógł ujawnić, wogóle nigdy nie dochodziło — ale jedynie i wyłącznie z powodu karygodnej polskiej niewytrwałości, zanarchizowanego ducha i nieumiejętności konsekwentnej realizacji wszystkich najdonioślejszych, najżywotniejszych zadań państwowych.

Aż zazdrość chwyta, gdy spojrzeć na fotografję Bazyliki Piotrowej, iluminowanej na cześć dwóch Anglików. A niezdarność polska, słynny nasz słomiany ogień we wszystkiem i rozżarte, tępe, podwórkowe partyjnictwo przeciąga od pięciuset lat sprawę kanonizacji wielkiej, ofiarnej królowej, która na każdem polu życia, publicznem i prywatnem, może nam być błyszczącym przykładem!

Nie potrzebuje pouczać nas „Głos Narodu", co jest potrzebnem w procesie kanonizacyjnym do ustalenia świętobliwości. Wiemy o tem w każdym razie lepiej od gazety codziennej, której głównem zadaniem i racją bytu — jak każdego nowoczesnego dziennika — jest przedewszystkiem robienie wyborów od jednej kadencji do drugiej i szerzenie takiego czy innego partyjnego programu. Znamy więc dobrze warunki kanoniczne. Ale co innego samo postępowanie kanonizacyjne, a co innego przyczynienie się ze strony zainteresowanego w pierwszym rzędzie społeczeństwa, aby warunki kanonizacyjnego postępowania ułatwić i wzmocnić głos narodu — ale oczywiście prawdziwy głos narodu, nie krakowską gazetę — tak, aby potężnie doszedł do stóp Watykanu.

Dla „Głosu Narodu" wystarcza, że sprawa jest już w ręku duchownem, że weszła w przepisany tok akcji. A więc załóżmy ręce i oddajmy się czysto polskiemu dolce far niente. Nie — dla nas to nie wystarcza! To nie sprawa świętobliwej Wandy Malczewskiej, ani nawet Hozjusza. To daleko większa sprawa, która porwać powinna nareszcie, po pięciuset latach nieudanych wysiłków, cały naród huraganem, z podeptaniem wszelkich partyjnych przywódców i partyjnych dzienników! Tu nie chodzi tylko o mniejszego znaczenia dla ogółu sprawę uznania świętobliwego żywota jakiejś pobożnej jednostki, o zbudowanie jednego ołtarza więcej w tym czy innym kościele. Tu chodzi — wyraźnie to akcentujemy — o zwycięstwo pierwiastków jasnych nad wszelkimi ciemnymi pierwiastkami w narodzie przez wy-

wyższenie na ołtarze i na wysoki piedestał narodowy wielkiego, a równocześnie i świętobliwego historycznego Autorytetu.

Polska, osiągająca w pełni XX-go wieku, do cna zmaterjalizowanego i z wszelkich wznioślejszych idei wyjałowionego, kanonizację takiej historycznej postaci, złoży dowód, że chce iść zdecydowanie dobrą drogą, mimo wszelkich, bijących w nią od wewnątrz i zewnątrz czynników moralnego rozkładu; w przeciwnym razie złoży Polska dowód, że moralnie, mimo wszelkich wzniosłych frazesów, niewiele jest warta.

Stąd też nietylko nie cofamy, ale przeciwnie, z całą mocą potwierdzamy nasze, atakowane przez krakowską, partyjno - polityczną gazetę, twierdzenie, że — oprócz oczywistych wymogów kanonicznych — sprawa skutecznego, zdecydowanego poparcia przez naród polski w całości kanonizacji królowej Jadwigi jest historycznie wykazaniem tężyzny i wykonaniem pewnego doniosłego zadania, z których dawna Rzeczpospolita nie umiała wykonać ani jednego.

W tym celu muszą polskie sfery duchowne wykazać niezłomną energję i konsekwencję działania, musi rząd polski zrozumieć, że mocne poparcie tej kanonizacji będzie dla niego wielką wygraną w społeczeństwie, muszą partyjne dzienniki odłożyć na bok w tej sprawie swe polityczne i personalne rozgrywki, przenieść je na właściwą dla nich platformę, a natomiast murem stanąć w sprawie kanonizacji i we własnych stronnictwach wykonać ostrą autokrytykę, gdyby ktoś tam chciał sprawie kanonizacji czynny lub bierny stawić opór. Muszą uczeni, których kompetencja mogłaby sprawie usłużyć, porzucić na chwilę swe badania nad szczegółami naukowymi o znacznie mniejszej doniosłości, a podjąć energicznie daleko ważniejsze od tych wszystkich prac szczegółowych historyczne zagadnienie postaci i zasług Jadwigi. Niech nazwiska ich, podpisywane na stosunkowo drobniejszych szczegółach naukowych, zaja-

śnieją na fundamentach dokumentarnych procesu kanonizacyjnego Tej, która Polskę mocarstwem uczyniła i dała jej misję olbrzymią. Muszą naoścież otworzyć się archiwa, a przedewszystkiem serca narodu, osłabione narazie sklerozą materjalizmu, partyjnictwa i walki klasowej.

Prawda, że rozpowszechnienie kultu danej świętobliwej postaci w danem społeczeństwie jest dla Watykanu bardzo ważnym przyczynkiem w procesie kanonizacyjnym. Ale jakże może rozszerzyć się ten kult w społeczeństwie, do konsekwentnego przeprowadzania pewnej akcji niezdolnem, w niem niewyszkolonem? Tu trzeba bardzo silnej podniety ze strony pewnych energicznych jednostek w narodzie, dobrze świadomych zadania i celu. Wszak trzeba „zjadaczy chleba w aniołów przerobić“!

Jeżeli więc „Głos Narodu“, jako dziennik katolicki i — jak twierdzi — daleki od nacjonalizmu, chce na serjo, ponadpartyjnie poprzeć sprawę kanonizacji i szerzenie kultu Królowej w kraju, to zamiast walczyć z nami o jakąś fikcyjną słowiańskość, zamiast kruszyć z nami kopje w obronie perfidnych masonów czeskich, największych wrogów Polski i zamiast bronić — nie wiedzieć poco? — endeków, paraliżujących akcję kanonizacyjną, powinien poprzeć nas i wzywać szerokie sfery społeczeństwa do szerzenia kultu świętobliwej Jadwigi. Wówczas przyznalibyśmy pierwsi, że katolicka gazeta krakowska stanęła prawdziwie na wysokości swego zadania i zaliczylibyśmy ją do owych „tęższych“ elementów w Polsce, które zdolne są współdziałać w realizacji doniosłych zadań da dalszą metę.

Niestety, zamiast tego, czego po katolickim, krakowskim, nie radykalnym i nie skrajnie nacjonalistycznym dzienniku należałoby się spodziewać, wyskakuje „Głos Narodu“ z drobnostkowym, czupurnie polemicznym, istnie reporterskim artykulikiem, w którym kompletny brak informacji walczy o lepsze z pospolitą demagogją dziennikarsko-partyjną.

Wypada nam więc powtórnie poinformować „Głos

Narodu". A to już trochę wstyd, jeżeli dość duża gazeta daje się informować przez inne wydawnictwo i to miesięczne!

I tak, po pierwsze, miesięcznik nasz nie jest wcale konserwatywnym, jak to twierdzi zdawkowo na wstępie artykuł „Głosu Narodu". Z rozwojem bowiem specjalnej ideologji, a przedewszystkiem pragmatyczności celów Naszej Przyszłości i wyłonionego przez nią dla realizacji tych celów „Związku Polskiej Myśli Państwowej", powstało w Polsce coś całkiem nowego, nie mającego nic a nic wspólnego z całą dotychczasową strukturą partyjno - polityczną, coś, co napróżno siliłiby się ludzie wtłoczyć w jakąkolwiek znaną i utartą rubrykę partyjno - polityczną, warstwowo - społeczną lub grupowo - zawodową. Próbowali to już inni przed „Głosem Narodu", ale pióro ich stanęło bezradnie wobec rzeczywistości, gdyż przekonali się, że Nasza Przyszłość i wspomniany Związek absolutnie nie dadzą się ranżować w żadną z dotychczasowych, znanych dziennikarstwu naszemu komórek partyjnych lub społecznych.

Niema za Naszą Przyszłością przedewszystkiem żadnej „finansowej grupy" — co jeden z warszawskich dziennikarzy nazwał „nowym cudem nad Wisłą" — a to jedno już wystarcza, aby wyeliminować wpływ na Naszą Przyszłość jakiejkolwiek postronnej potęgi, czy jakiejkolwiek zamożnej, wpływowej jednostki politycznej lub gospodarczej i zapewnić naszemu wydawnictwu całkowitą, rzeczywistą niezależność. Śmiało stwierdzić możemy, że Nasza Przyszłość jest pod tym względem unikatem w prasie polskiej, a bodajże i zagranicznej. Stąd opinja, powierzchowna, zdawkowa, na reporterskim konserwatyźmie różnych naszych dzienników oparta, jakoby Nasza Przyszłość i zainicjowany przez nią Związek miały mieć coś wspólnego ze stronnictwem konserwatywnem lub przeciwnie, miały być frondą z tegoż stronnictwa — to bajka, o której fałszu każdy łatwo może się przekonać, kto Naszą Przyszłość w ostatnich latach czyta, ale naprawdę czyta lub kto

ma możność obserwować bliżej cele i działalność Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Nie jest to również żadna emanacja BBWR i nie idzie za żadnym dyktatem Rządu. Czemże więc jest? Jest tem, czem jest i o czem pisze i — niczem więcej. Wyobrażamy sobie, że taka rzeczywistość przedstawia dla pp. redaktorów i reporterów prasy codziennej niesłychaną trudność i łamigłówkę, ale na to już nic nie możemy pomóc.

To jedno jest pewnem, że poznawszy przez długie lata na wylot całą jałowość polskiego partyjnictwa wszelkich odcieni, nie wierzymy, żeby jakiekolwiek „przekonania polityczne" miały dzisiaj wartość i dlatego sprawą partyjnictwa, wieców, wyborów i t. p. zupełnie się nie interesujemy, a natomiast staramy się przyciągać prawdziwie tęższych starszych i młodszych ludzi do konsekwentnej, stopniowej, nieugiętej realizacji szeregu konkretnych zadań państwowych bez względu na fluktuacje konjunktur sejmowych, czy partyjnych.

Powtóre — ruch polityczny, wytwarzający w mózgach ludzkich specyficzną, ultra - egoistyczną, na nienawiści bliźniego opartą mentalność, który, po różnych perypetjach w ostatnich kilkudziesięciu latach, przybrał wreszcie dzisiejsze kształty obozu nacjonalistycznego, czyli endeckiego, uważamy za istotnie wielką zaporę dla zdrowego, naturalnego rozwoju państwa i narodu polskiego. Ruch ten bowiem staje zawsze na stanowisku skrajnej negacji wobec wszystkiego, co przypadkiem od niego nie wyszło i co jemu ślepo się nie poddaje. Niepodobna czegokolwiek zainicjować w kraju, choćby to była rzecz całkiem apolityczna i oficjalnemu programowi endeckiemu nawet zupełnie nie przeciwna, żeby nie spotkać się odrazu z tępym oporem endeckim, o ile dana rzecz nie wyszła z endeckiego obozu. Wystarczy powiedzieć, że coś jest białem, aby każdy, zaczadzony endecką narkozą, zaczął namiętnie twierdzić, że jest czarnem i naodwrót. Znaną np. jest germanofobja endeckiego obozu. Ale wystarczy, że ktokolwiek inny

wystąpi z czemś przeciw Niemcom, a już wszystkie endeckie gazety ujmują się natychmiast za Niemcami, piorunując wykrętnie, że ten ktoś „psuje dobre stosunki z naszym zachodnim sąsiadem".

Mniejsza więc o polityczne przekonania endeckiego obozu, które tyle są warte, co całe partyjnictwo wogóle, ale obchodzi nas obóz ten i kierunek o tyle, że ogłupiając mózgi, propagując niechrześcijańską nienawiść i stając wpoprzek wszystkiemu dobremu, co się dzieje w państwie, o ile to coś nie ma na sobie partyjno - endeckiego stempla, jest w gruncie rzeczy niebezpiecznym ruchem antypaństwowym, pracującym na korzyść wrogich Polsce elementów zagranicznych i stanowi stałą przeszkodę w moralnej, a przez to i materjalnej naprawie stosunków w kraju i realizacji wszelkich pożytecznych zamierzeń. Nadużyciem zaś religji do celów egoistycznie partyjnych wywołuje tem większą reakcję ze strony elementów, religijnie obojętnych lub przeciwnych Wierze.

Twierdzi „Głos Narodu" — zestawiając parę naszych wyrażeń metodą endecką — że wyżej stawiamy komunistów od endeków. No, tak bezpośrednio Nasza Przyszłość nie pisała i pisać nie mogła. Trzeba było dokładniej przeczytać i zreferować nasze twierdzenia, aby sens ich oddać rzetelnie. Ale dzisiaj, w tej chwili, czyż nie mielibyśmy prawa postawić w każdym razie przyzwoitość zachowania się bolszewików ponad zachowaniem się endecji? Wszak cały świat — dosłownie cały świat — wyraził Polsce współczucie z powodu zgonu prawdziwie Wielkiego Człowieka, jaki zwykle w każdem państwie epokę stanowi, co też uznają zwykle nawet jego nieprzyjaciele. Nawet taka egzotyczna republika Honduras przywdziała trzydniową żałobę. Nawet Radek w sowieckiej gazecie napisał poważny, przyzwoity artykuł o Tym, który przez całe życie walczył z Rosją i wygrał wojnę z państwem sowieckiem.

A co zrobiła prasa endecka w tym momencie? Z jakimże to artykułem wystąpiła Gazeta Warszawska, cen-

tralny organ endeckiego ruchu i obozu? Czyż zachowanie się endeckich ultra - patrjotów i ultra - katolików w takiej chwili nie ściąga pośrednio hańby na cały naród, który — i to inteligencja — toleruje w mózgach pewnej liczby swych współrodaków, mężczyzn i kobiet, istnienie tak cynicznej, bezwstydnej, stanowczo akatolickiej ideologji? Aż wstyd porządnemu człowiekowi należeć do społeczeństwa, którego część daje zagranicy taki przykład doktrynerskiego ogłupienia i bestjalskiego rozwydrzenia. Aż wstyd, że tych naszych rodaków muszą bolszewicy uczyć choćby prymitywnej przyzwoitości! I to wszystko — szczerą prawdę mówiąc — dzieje się pozornie, z perfidną obłudą, w imię Boga i Ojczyzny, a w gruncie rzeczy dla pozyskania pewnemu zastępowi jałowych politykierów pensji poselskich i ministerjalnych! Poza tem bowiem, poza pobieraniem pensji, endecy, stale w duchu negacji chowani, nie są w stanie nic pozytywnego dla Polski zrobić, czego dowiedli wymownie przez szereg lat swego panowania, wtrącając kraj w anarchję i osłabiając niesłychanie autorytet Polski na zewnątrz przez padanie plackiem na twarz przed każdym zagranicznym komiwojażerem.

Dlatego stwierdzamy wyraźnie, że ideologja i postępowanie polskiego ruchu nacjonalistycznego są nawskroś nieetyczne, najmniej etyczne ze wszystkich partyjnych przejawów w Polsce. I twierdzimy również, że dopóki poważniejsze sfery społeczeństwa nie otrząsną się z tej niszczącej narkozy, dopóki nie potępi jej wyraźnie duchowieństwo, mając w pamięci przypowieść o faryzeuszu i celniku, dopóty wszelkie pozytywne, użyteczne wysiłki w polskiem społeczeństwie natrafiać będą zawsze na kłody pod nogami.

Uczynić to winna raz nareszcie i Chrześcijańska Demokracja, której wyrazem jest — podobno — „Głos Narodu"! Nie znaczy to, żebyśmy Chrześcijańską Demokrację do politycznego obozu prorządowego chcieli nakłaniać. Politykowanie to nie nasza rzecz i gdzie sobie partja Chrześcijańskiej Demokracji miejsce obierze, to jej sprawa.

W każdym razie Nasza Przyszłość o mandaty i zaszczyty polityczne ani z nią, ani z nikim konkurować nie będzie. Ale zaiste, nie jest do twarzy reprezentantom idei Encykliki Rerum Novarum i innych, wspaniałych w swej dalekosiężnej myśli enuncjacji Watykanu, jakimi niby chcą być u nas Chrześcijańscy Demokraci, znajdować się w nawskroś amoralnem towarzystwie endeckiem i wysługiwać się posłusznie endeckim celom! A przecież rzeczywistością polskiej Chrześcijańskiej Demokracji jest po dziś dzień jeszcze, mimo wszelkich zaprzeczeń, endecka niewola. Najlepszy dowód — poza tysiącem innych, aż nadto znanych — jest choćby zacytowany na wstępie artykuł „Głosu Narodu", nawskroś endecki w treści, formie i metodzie i tendencji. Szczery, niezależny chrześcijański demokrata nie polemizowałby w ten sposób z Naszą Przyszłością, która niezłomnie stoi, bez dyskusji, przy Kościele katolickim, wysoko ceni czystą ideę ruchu chrześcijańsko - demokratycznego i pracuje nad programem swobodnego ustroju korporacyjnego w imię wskazań katolickiego Kościoła.

Niechże Chrześcijańska Demokracja, a z nią i „Głos Narodu" — o ile istotnie ma być organem tej pięknej idei, a nie zwykłą gazetą partyjno - wyborczą pod rozkazami endecji — uprzytomnią sobie dobrze jeszcze jedno niebezpieczeństwo, które im, oczywiście mimo ich woli, poważnie grozi i kiedyś ewentualnie, o ile dalej będą stać pod batutą wpływów endeckich, na wielką narazić ich może kompromitację.

Oto wiadomo nam dobrze, jak potężnymi środkami pracuje u nas, niestety, czesko - masońska propaganda. Pracuje politycznie śmiesznym kaduceuszem słowiańskiej wspólnoty, pracuje moralno - politycznie na rzecz paryskiej loży Wielkiego Wschodu.

Propaganda ta opiera się u nas głównie na sferach, ogarniętych endecką narkozą. Instrumentem jej są najrozmaitsze zjazdy i umizgi słowiańskie, z których Czesi w gruncie rzeczy w kułak się śmieją, prześladując słowiań-

skość w swych polskich i słowackich obywatelach, a natomiast mobilizując przeciwko nam świat cały, a zwłaszcza Rosję i komunizm rosyjski. To chyba „Głosowi Narodu“ musi być wiadomem. Wszak nawet „gazety pisały“, że Czesi przecięli naszą komunikację samolotową przez ich terytorjum, a natomiast zbudowali bezpośrednią linję lotniczą Praga — Moskwa i wchodzą w coraz bliższy sojusz z bolszewikami.

Czy takie pojęcie szczepowej wspólnoty słowiańskiej odpowiada Redakcji „Głosu Narodu“? Chyba nie. Ale zarysowuje się dla niej i dla Chrześcijańskiej Demokracji wogóle, poważne niebezpieczeństwo, że mimowoli wciągnięte zostaną w całą tą kolosalną antypolską i antykatolicką robotę, jeżeli ostro nie odetną się od nacjonalistycznego obozu i nie zerwą ze szkodliwym szałem słowiańskości, która przecież jest dzisiaj tylko pustem hasłem bez żadnego praktycznego znaczenia, ale w dalszych swych konsekwencjach może stać się czemś wielce kompromitującem i szkodliwem.

Niechże choć raz Polak okaże się mądrym przed szkodą! Niech nie pójdzie z cielęcą naiwnością za kuszącem brząkaniem słowiańskiej bałabajki! Niech stanie zimno i twardo na trzeźwej platformie wyłącznie polskiego interesu państwowego, narodowego i dobrze zrozumianego interesu katolickiego! Caveant consules w „Głosie Narodu“, ne Respublica nasza i idea Chrześcijańskiej Demokracji detrimenti capiat!

Otóż chcemy im tu odsłonić mały rąbek tajemnicy, aby refleksję im ułatwić. Czeskim masonom rządzącym jest oczywiście nie na rękę sprawa kanonizacji królowej Jadwigi, która może moralnie i politycznie bardzo podnieść, wzmocnić i skonsolidować naród polski — pomijając już całą kwestję czysto kościelną dopełnienia kanonicznych warunków procesu. A ponieważ propaganda czeska wywiera, jak dobrze wiadomo, wielką atrakcję na hasełkową mentalność naszych ultra - narodowców, więc stąd wycho-

dzi prąd różnorodnych „trudności", jakie napotyka rozpoczęty już w zasadzie proces kanonizacji królowej. Nie przeszkodzą nam dzisiaj w tem Niemcy, bo katolicyzm w Niemczech zapomniał narazie o Krzyżakach i przechodzi srogie prześladowanie, a hitleryzm jest z Polską narazie w dyplomatycznej zgodzie. Pomóc mogą nam Węgrzy, mając pewne wpływy w Rzymie, zwłaszcza, że chodzi o ich Królewnę, której kanonizacja spadnie więc zaszczytnie i na nich w pewnym stopniu. Zawzięcie natomiast przeciwni są kanonizacji rządzący czescy masoni. A wiadomo przecież z historji, że chociaż przy ostatecznem orzeczeniu Kościoła brane są oczywiście pod uwagę tylko sprawdzone dowody świętobliwości, kultu i cudów, to jednak na przebieg procesu kanonizacyjnego, a zwłaszcza na szybkość postępowania procesowego, niemały wpływ miały bardzo często pewne ważne momenty międzynarodowo - polityczne, choćby poprostu jako wyraz dążeń i wiary w świętobliwość danej postaci ze strony szerokich warstw i miarodajnych czynników różnych narodów.

Teraz więc może — po otrzymaniu tych zasadniczych informacji — zrozumie nareszcie Redakcja „Głosu Narodu" prawdziwą sytuację. Proces kanonizacji odbywa się bądź co bądź na ziemi i — obok religijnych — także i różne świeckie, nawet polityczne momenty mogą przyśpieszyć go lub opóźnić, a nawet całkiem unicestwić. Ponieważ zaś sprawa królowej Jadwigi opóźnia się i raz po raz unicestwioną zostaje od pół tysiąca lat właśnie przez takie świeckie momenty polityczne, więc niechże „Głos Narodu" nie dziwi się, że istniejąca w Związku Polskiej Myśli Państwowej, a przedtem jeszcze w luźnem gronie najbliższych zwolenników naszego wydawnictwa, Sekcja szerzenia kultu królowej Jadwigi zdecydowana jest z całą, wskazaną w danych warunkach bezwzględnością polityczne te przeszkody usunąć, przeciwników tej kanonizacji bezceremonjalnie ujawnić i zdezawuować i poprzeć sprawę z odpowiednią energją, o ile to do świeckiego społeczeństwa należy.

Reasumujemy: ostatni już czas, aby Polacy naprawdę zmądrzeli i wyzbywając się mocarstwowym gestem wpływu „obcych agentur", które posługiwały się dotąd bezgraniczną naiwnością polskich partji politycznych, aby się u nas rządzić, jak ongiś Repnin w Warszawie, nauczyli się nareszcie osiągać swe cele, łamiąc po drodze głupie a uparte przeszkody. Walka o królowę Jadwogę w Polsce, w połowie XX-go wieku, jest równoznaczną ze zmaganiem się katolicyzmu z paryską masonerją i wszystkimi jej szkodliwymi wpływami w naszym kraju. Jest więc nietylko probierzem wspomnianej przez nas poprzednio tężyzny narodu, ale i prawdziwości jego głębszego katolickiego ducha.

Dlatego pokaże się obecnie, najwymowniej — bez względu na wszelkie dziennikarskie i partyjne polemiki — kto w Polsce jest prawdziwym, rzetelnym, dzielnym katolikiem, a kto ulega bezpośrednio lub pośrednio wpływom antyreligijnym. Bo to gadać można dużo i rzucać pobożnemi hasłami i obnosić się ostentacyjnie z katolicyzmem, aby wzbudzić podziw swoich bliźnich lub dla celów wyborczych — ale co innego dokonać doniosłego katolickiego czynu, któremu poważne trudności stają na drodze. A o to właśnie chodzi, Szanowni Panowie z „Głosu Narodu".

Sekcja szerzenia kultu Królowej Jadwigi.

ZEBRANIE SEKCJI RUSKO-UKRAIŃSKIEJ Z. P. M. P.

Wykorzystując zebranie się członków i sympatyków Związku na krótkie walne zgromadzenie, wyznaczone na kilkanaście dni naprzód na termin 16-go maja — które wobec zaszłego w międzyczasie zgonu ś. p. Marszałka zamieniło się w pierwszej swej części na żałobną manifestację żalu i hołdu — wstawił Zarząd Związku jeszcze poprzednio, jako aneks do walnego zebrania, odbycie drugiego z rzędu posiedzenia Sekcji rusko - ukraińskiej, przewidzianego na poprzedniem jej zebraniu marcowem.

Trudno było odwoływać obrady tej Sekcji wobec niespodziewanego tragicznego wypadku przedewszystkiem dlatego, że przybyli na nie także wybitni członkowie i sympatycy Związku z poza Warszawy, a powtóre także i dlatego, że zapanowało w gronie naszem przekonanie, iż po oddaniu z głębi serc należnego hołdu Wielkiemu Zmarłemu, błędnem byłoby uczczenie Jego pamięci wygodnem rozjechaniem się do domu i nieróbstwem. Nie takiego rodzaju żałoby wymaga od nas historyczny Testament ś. p. Marszałka, ale przeciwnie — niewzruszonego kontynuowania dalszej pracy. Wszak hasło „wyścigu pracy" od Niego pochodzi.

Dlatego zebrani postanowili, że obrady Sekcji mają się odbyć, mimo wielkiego wstrząsu i żałoby w sercach.

Po zamknięciu więc walnego zebrania, otworzył przewodniczący, dr. Jan Bobrzyński, obrady Sekcji, przypominając w krótkich słowach jej konkretny program działania, uzasadniony i ustalony w swych granicach i celach na poprzedniem zebraniu.

Przypomniał w szczególności, że Sekcja rusko - ukraińska Związku P. M. P. nie zajmuje się wcale całokształtem sprawy i polityki polsko - ukraińskiej, gdyż nie ma

ani mocy, ani tytułu do działania w tak szerokim zakresie. Jest to rzeczą rządu, sejmu, aparatu administracyjnego i stronnictw politycznych lub ewentualnie także pewnych organizacji społeczno - politycznych, obdarzonych odpowiednim mandatem. Natomiast wytyczyła sobie Sekcja — na podstawie poprzednich, kilkoletnich doświadczeń bezpośrednich z kontaktu z Rusinami Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości, dalej na podstawie pilnej obserwacji stosunków i głębszego przemyślenia całej sprawy — narazie tylko dwa konkretne odcinki działania:

1) podważenie i wycięcie z mentalności najpierw polskiej, potem ruskiej skutków incydentu dziejowego kozacko - hajdamackiego, którego nawskroś negatywny, nieetyczny, destruktywny, a historycznie jałowy charakter wypaczył zupełnie wszelką zdrową myśl w społeczeństwie ruskiem i natchnął je tym niezmiernie szkodliwym już dla samej ruskiej racji stanu pierwiastkiem negacji, który czyni dzisiaj z Rusinów „naród niehistoryczny", wedle słów własnych obecnego Metropolity grecko - katolickiego;

2) śledzenie i sygnalizowanie, a przez to samo już i pewne paraliżowanie dalszego postępu ukrainizacji państwa polskiego w szerokim półksiężycu od Dunajca przez Lwów i Polesie, aż po Wilno, który to podbój stanowi obecnie najgłębszy, najistotniejszy cel polityki naszych wschodnio - małopolskich Ukraińców — a raczej ukrainizatorów — mamiących Polskę, dla pokrycia tych zamiarów, hasłem Wielkiej Ukrainy, w które żaden z naszych Ukraińców na serjo nie wierzy.

„Związek nasz i jego organ Nasza Przyszłość — podniósł przewodniczący — nie lubią i nie uważają dla siebie za celowe brać się do spraw, któremi już inni się zajmują i to z większą od naszej kompetencją. Dlatego zajmowanie się całokształtem polityki polsko - ruskiej i wszystkimi jej szczegółami i zadaniami na etnicznie mieszanych terenach Rzeczypospolitej byłoby z naszej strony nieproduktywnym nonsensem, nawet szkodliwym, gdyż mogłoby przeszka-

dzać dalekosiężnej taktyce czynników oficjalnych. Naszem natomiast specyficznem zadaniem jest robienie tego, czem zupełnie, albo prawie zupełnie nikt się nie zajmuje, gdyż na takich polach możemy pełnić naszą właściwą rolę. Zwłaszcza zaś jest zadaniem i misją naszą sięganie każdej danej sprawie „aż do wątroby“, to jest to jej najgłębszego sedna i budowanie w ten sposób głębszych podstaw dla prawdziwie racjonalnego, zgodnego z rzeczywistością, a przedewszystkiem konsekwentnego traktowania każdego danego problemu.

„Jest to praca, oczywiście, po linji największego oporu, w tym wypadku oporu ze strony zarówno ruskiej, jak i polskiej, przywykłej od stu lat do tańcowania na sztucznej platformie ukrainizmu w takt siczowej drumli. Praca wielce niepopularna, ale przez to właśnie bardzo dla nas pociągająca, ciekawa i niewątpliwie skuteczna w ostatecznych rezultatach. Wszak Związek nasz, chociaż nic wspólnego nie ma z polityką obozu konserwatywnego i nawet według statutu nic wspólnego z żadną działalnością, czy choćby nawet mentalnością partyjną mieć nie może, niemniej jednak jest sukcesorem w prostej linji żelaznej metody dawnej krakowskiej szkoły historycznej, która szła, jak wiadomo, w imię prawdy dziejowej, nie bacząc na niepopularność i lekce sobie ważąc kamienie, ze wszech stron przez politycznych tromtadratów na nią rzucane“.

Następnie, przypominając uchwałę poprzedniego zebrania Sekcji, wyznaczającą na obecne posiedzenie omówienie w pierwszym rzędzie sprawy siczowo - hajdamackiej, oddał przewodniczący głos sekretarzowi Sekcji, p. Józefowi Czarneckiemu, jako referentowi. P. Czarnecki przedstawił swój obszerny referat p. t.:

Kompleks siczowo - hajdamacki w historji i psychice ukraińskiej.

Oj, Bohdanie, Bohdanie, nierozumnyj synu!
Taras Szewczenko.

„Mój artykuł „Stygmat grzechu“ znalazł, jak to słu-

chaczom wiadomo, odpowiedź ze strony Ukraińca. Odpowiedź śmiałą i przynoszącą zaszczyt autorowi swą szczerością. Czy jednak zadowalającą?

„Jak nasz desperat, wieczny rewolucjonista, powinien sobie dać spokój z zamachami, tak wy, Panowie, powinni sobie dać spokój z odukrainizowaniem ukraińsfwa i pluciem na Sicz“ — pisze Ukrainiec. Nie mam zamiaru kłócić się z nim ząb za ząb. W odpowiedzi jednak muszę stwierdzić, że nie taki cel przyświecał temu wystąpieniu.

Plucie wogóle jest niepotrzebne. Znajdą się środki inne, mocne i skuteczne, które załatwią sprawę Siczy, kozactwa, Chmielnickiego i co tam jeszcze tworzy ten bolesny kompleks grzechu w historji i psychice ukraińskiej.

Ten kompleks — postanowiliśmy to sobie — będziemy bez pardonu odsłaniać, ujawniać, demaskować, czy się to komu podoba, czy nie podoba. Od błogo uśmiechniętych min komplementowanych słuchaczów więcej cenimy prawdę. I tą prawdą obdzielimy porównie obie strony: polską i ukraińską. Niech się bowiem nie zdaje naszym przyjaciołom ukraińcom, że tylko do słuchu potrafimy mówić pod adresem ich narodu. Jak zajdzie potrzeba, wygarniemy też coś z pieprznem i solą sobie samym. Prawda obowiązuje dla wszystkich, a nie naszą jest rzeczą „możnym tego świata“ basować kłamstwem.

Być może byłoby to wygodniejsze, łatwiej zjednywałoby sympatje. Ale nie o krótkotrwałe efekty nam chodzi, lecz o gruntowne rozwiązywanie politycznych problemów.

Taki problem stanowi dla nas wyzwolenie psychiki ukraińskiej z pod uroczliwego, sugestywnego wpływu „tradycji siczowo - hajdamackich“.

I przez bezkompromisowość dążenia w tym kierunku postaramy się „trutniu staremu nauki miedowyj miesiac otrawit‘“ i różnych gloryfikatorów „ruki bolno zbit‘“ — jak to zrobił Kostomarow.

Cukierkami ze strychniną fałszów historycznych nikogo karmić nie będziemy.

To, co się eufemistycznie nazywa dziś Ukrainą, od wieków jest terenem oddziaływania dwu czynników politycznych: Polski i Moskwy, a później Rosji. Wskazując na ten fakt w mem przemówieniu na obiedzie Naszej Przyszłości w maju 1933 r., podkreślałem, że najistotniejszą rzeczą jest, aby w sferze tego oddziaływania sami ukraińcy stworzyli nastawienie w kierunku Polski, stworzyli to nastawienie bynajmniej nie dla samej Polski, lecz dla podtrzymania tego, co nazwaćby można duchem kultury i historji ukraińskiej. Duch ten jest niewątpliwie zachodnioeuropejski — przynajmniej w swych integralnych przejawach — w przeciwieństwie do ducha Moskwy, który jest wschodni, azjatycki, tego ducha, który wyhodował się w promieniach wpływu mongołosfery. Moskwa w ramach państwa Wielkiego Mongoła była ledwie cząstką nikłą jednej z prowincji (ułusa), a wielki książe moskiewski był zwykłym namiestnikiem cara ordyńców z Astrachania (Saraj)[1].

Miał rację Stefan Batory, pisząc do Iwana Groźnego: „Tyś krwią swoją spokrewnił się z bisurmanami, twoi przodkowie, jak koniuchy, służyli za podnóżek carom tatarskim, kiedy wsiadali na koń, ojcowie twoi lizali mleko kobyle, kapiące z tatarskich klaczy“ (1580 r.).

Do takiego ducha, do takiego rodowodu niema się co Ukraina przyznawać, ani na co powoływać. Nie ma też się na czem wzorować. Moskwa, to bastard na dalekim szlaku tatarskiej ekspansji. I nie uratuje jej od tego stygmatu przyklejanie sobie etykiety „drewnianej Rusi“, kijowskiej oczywiście.

Niestety w tem przyczepianiu się Moskwy do prastarego ruskiego pnia raz poraz pomagają jej sami tego pnia przedstawiciele.

I tu właśnie stajemy przed naszym kompleksem „siczowo - kozackim“.

Ten kompleks w swych najjaskrawszych przejawach

---

[1]) Dr. E. Charadwan: „Czyngis — Chan“. Belgrad 1929, str. 128

zalatuje mongołosferą. Ta sama w nim mentalność, te same metody. To samo hasło: „Gdzie stąpi mój koń, tam trawa nie porośnie“. Ta sama filozofja dżingiska: „Rozkosz i błogość człowieka polega na tem, by pognębić opierającego się, przemóc wroga, wyrwać go z korzeniem, zmusić do płaczu jego sługi, kazać łzom spływać po policzkach ich i nosie, rozsiąść się na ich wygodnie kroczących, spasionych koniach, brzuch i pępek ich żon uczynić sobie łożem i posłaniem, cieszyć oko swe rumieńcem ich lic, całować je i usta ich słodko wysysać“[1]).

A teraz proszę pomyśleć, że spadkobiercom takiej ideologji niszczycielskiej Bohdan Chmielnicki poddaje Ukrainę, przysięga przyjaźń i sojusz. Rozumiemy liczne racje społeczno-polityczne i religijne, które doprowadziły do wojen kozackich, rozumiemy głębokie rozgoryczenie szlachty ruskiej i ludu, którego cerkwie w zastaw żydom oddawano (niestety, niestety), ale, żeby krzycząc: „na pohybel Lachom“, samemu w jeszcze straszliwszą przepaść skakać, niż ją stwarzały trudne warunki bytu w ramach Rzeczypospolitej, na to doprawdy trzeba niepojętego „otczajanja“.

Nic więc dziwnego, że Chmielnickiemu rzuca w twarz Taras Szewczenko (z przekonania wróg Rosji) mocne oskarżenie:

„Bohdanie, Bohdanie, nierozumnyj synu“!

Doprawdy — trawestując Szewczenkę — dałoby się powiedzieć: „Ukraina i sama wpała i Polszu pohrebała“.

17 stycznia 1654 r. smutna to data w dziejach Ukrainy, a zresztą i Polski.

Podyktował ją chyba ten sam szatan - kusiciel, (jakaś nierozumna a tajemnicza siła desperacji i negacji), na którego już za czasów królowej Jadwigi narzeka starosta Detko. Obejrzy się potem coprawda „nierozmnyj syn, Bohdan“ na to, co szkodliwego zrobił i osobiście na rynku pokala

---

[1]) Istorja Ukrainy—Rusy. Hrusznwskyj. Tom IV, str. 326.

coram publico dokument perejasławski. Ale, gdy raz już się weszło na fałszywy tor, trudno z niego zawrócić.

A przecież ta Moskwa w stosunku do Ukrainy pokazała nieraz przedtem swą okrutną łapę.

W r. 1169 Andrzej Bogolubski zniszczył i ograbił Kijów. Latopisy mówią: „Chrześcijaństwo zabijano i brano do niewoli, nie szczędzono nikogo. Cerkwie łupiono, zabierano z nich obrazy, szaty, dzwony, św. Zofji niewyłączając".

Potem rok 1482, kiedy to z poduszczenia Iwana III chan krymski, Mendli - Girej napadł na Kijów i splądrował go bez litości, carowi zaś w darze posłał złoty kielich i talerz liturgiczny ze św. Zofji.[1]).

Mimo to jednak w Polsce raczej, niż w Moskwie, widzą książęta ruscy wroga i przeciw Polsce Moskwę wysuwają. Nic więc dziwnego, że do głębi oburzona tą przewrotnością (stanowiącą doprawdy przygrywkę do późniejszych siczowych przeniewierstw) księżna Helena nazwie ich „Kainami i Judaszami". Mocne to wyrażenie — mające za sobą tradycję kilkuset lat. Czy nie podpada pod nie i Bohdan Chmielnicki? Czy za swój czyn może być uważany za dobroczyńcę Ukrainy? Komu się przysłużył aktem perejasławskim, najlepiej to wyraził Bantysz Kamieński[2]):

„Imię Bohdana Chmielnickiego... zasługuje na miejsce w szeregu imion wielkich mężów, którymi Rosja zawsze będzie się szczycić..."

Szereg tych „wielkich mężów" powiększa potem taki Prokopowycz, kanclerz Piotra W., wychowanek kijowskiej akademji, zafascynowanej urokiem Moskwy, przefasonowywanej na petersburski pseudo-zachodni styl, ale przecież w swej istocie podlegającej wciąż mongołosferze. Wystarczy tu choćby przypomnieć popisy tegoż Piotra Wielkiego, jego cyniczne bezczeszczenie świątyń, jego szydercze uczty

---

¹) Istorja Ukrainy — Rusy. Kruszewskyj. Tom IV, str. 326.

²) Bantysz. Kamieński. Istorja Małej Rossiji. Połtawa, 1817.

antyreligijne (coś jak prawzór bolszewizmu). Mongoł pomimo wszystko pokazywał swe ohydne szydło z pod europejskiego kaftana. Maskarada była bardzo powierzchowna.

Od Piotra Wielkiego do Stalina linja rozwojowa wcale logiczna.

Zdumiewać się więc należy, że tego nie widzi pisujący w greko - katolickiej „Mecie" O. dr. Kostelnik.

Stwierdza on naiwnie, że „Jakaś znaczna polityczna klęska narodu rosyjskiego stałaby się prędzej czy później także źródłem nieszczęść dla Ukrainy. I nawzajem..."

Ależ tak. O ile Ukraina za wszelką cenę, wbrew historycznej swej racji bytu, będzie wiązać swój los z Rosją. Tak wiązali go siczowcy Chmielnickiego i tak wiązali go liczni ich następcy. Z tą jednak fatalną tradycją trzeba skończyć.

Mylą się wyznawcy siczowo - hajdamackich tradycji, licząc, że pod sztandarami Matuszki - Rassiji otwiera się dla Ukrainy perspektywę jakiejś niezwykłej, fantastycznej „karjery dziejowej". — Żadną perspektywę, z wyjątkiem klęski.

Inna rzecz, że Rosja chętnie eksploatowała i eksploatuje dla interesów swego państwa każdego „wiernopoddańczego" Ukraińca, który — jak to zauważył Gogol-Hohol — wyróżnia się zawsze, jako un homme d'esprit (nic dziwnego — wpływ kultury zachodniej).

Ale z kieratu tej niewolniczej pracy dla imperjum wyrzuca już nietylko takie „martwe dusze", jak tegoż Hohola, który opalił skrzydła swego genjuszu w moskiewskich fanarej swędzie — ale wyrzuca też i martwe ciała ofiar konfliktu z mongołosferą, dziś reprezentowaną przez bolszewizm: Twerdochliba, Kluszelnickiego, Chwilowego, czy Taraszkiewicza...

Ta mongolska Rosja jedynie wysysa krew z naiwnych, a przekornych synów kozaczych. Według przysłowia zresztą: „Gonił kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma".

W zetknięciu z Rosją — Moskwą „zepchnięte do stanu napół bydlęcego, pogrążone w tępym bezwładzie, prawie już poza granicami dziejów, kędyś pomiędzy kuchnią a sypialnią — dogorywają ostatnie resztki kozackiej i hetmańskiej elity... Pomiędzy lewobrzeżnemi moczymordami (żyjącymi hasłem analogicznem do naszego „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa") a prawobrzeżnymi bałagułami... wypowiedziało się bezpłodnie całe życie narodowe Ukrainy[1])".

Przysłowiowem mlekiem i miodem płynąca ziemia rozcieńczyła w swoich urokach wolę czynu kozackiego, choćby tego ślepego czynu „humańskiego", w którym rzucony na bezdroża naród omackiem, a dziko eksplodował rozpacz swej beznadziejności. Naród, pozbawiony warstwy kierowniczej, a przez tych, którzy mogli nim kierować, wyprowadzony ongiś na moskiewski manowiec — naród ten idzie ku zgubie.

Z tego błędnego szlaku odwołuje wkońcu siebie i innych sam Hohol, urzeczony także przez Rosję, przez jej rzekomą wielkość i wspaniałość kulturalną i polityczną, która okazała się „infernalnym mitem".

Zbrzydził więc sobie to inferno i woła do swoich: „Rzućcie nareszcie tę Kacapję i jedźcie do Hetmańszczyzny" (2. VII. 1833.).

W swym testamencie z przerażeniem ogłosi: „Współobywatele! Zgroza. Zamiera z lęku dusza moja. Jęczy konający duch i wzdryga się, widząc potworne zielska i chwasty, których nasiona sieliśmy za życia ani przypuszczając, co za straszydła z nich wyrosną".

Istinnoruskość — termin wymyślony przez Hohola — okazała się maską i pozą litylko Chlestakowa — fałszywego rewizora. „Chlestakowskie fałszowanie historji i patos wielkopańsztwowy, chlestakowska mistyka i mesjanizm — nie wyłączając i dzisiejszego chlestakowstwa ko-

---

[1]) E. Małaniuk. Tajemnica Hohola. 1935 r., str. 5 — 6.

munistycznego (biały carat zamieniony: czerwona czeka), jak każde oszustwo, nic konstruktywnego nie dały[1])".

W blaskach wielkiej burzy dziejowej piorun sprawiedliwości uderzył i zdarł maskę Chlestakowa, dokonał rzetelnej superrewizji.

Z perejasławskiego aktu B. Chmielnickiego, zgnojonego potem przez jego twórcę, na takim „znakomitym" kompoście rozplenił się bogato w dziejach ukraińskich typ Chlestakowa — człowieka, odgrywającego komedję wielkości w prowincjonalnej Pipidówce, adlatusa cudzej potęgi, ukradkiem starającego się zdyskontować dla siebie jakiś kupon przemijającej korzyści. Tragikomiczna to postać. A przecież wytworzona aktem woli samego społeczeństwa ukraińskiego, ściślej jego siczowo - hajdamackiej reprezentacji.

Chmielnicki zrodził Chlestakowa. Kompromitujący to wnuk.

Zdawałoby się, że rozeznanie się we własnych dziejach jest rzeczą prostą. Wymaga trochę znajomości historji, trochę systematyczności. I jednej jeszcze rzeczy: braku jakichkolwiek uprzedzeń, na prawo czy na lewo.

Mając to na uwadze, spróbujmy ocenić, jak wypadła historyczna synteza ukraińska, na łamach jednego z greko - katolickich organów, tygodnika metropolity Szeptyckiego[2]).

„Porównanie Ukrainy ze słoneczną Helladą zawiera dużo prawdy. I nasze położenie i bogactwa naszej ziemi stały się dla nas przekleństwem. Od początku średniowiecza byliśmy jak groch przy drodze, a dola nasza doprawdy okazała się dolą tej Mazepinej czajki-niebogi, co to wywiodła swe dzieci przy bitym trakcie...

„Już w XIII stuleciu wyludnienie sięga na Lewobrzeżu po Perejasław, nie mówiąc o południowem Prawobrzeżu.

---

[1]) E. Małaniuk, op cit., str. 13.

[2]) Meta. Nr. 1, 1935 r. Ukraińska nacja baretsia nini za christjansku kulturu Ewropy.

Została tylko ostoją Czernichowszczyzna... Za naszemi plecami wyrastał natomiast i porastał w siłę osłabiony przez niemieckie cesarstwo, sąsiad. W tym czasie, kiedyśmy my, z upadkiem państwa halicko - wołyńskiego, ustępowali z europejskiej areny jako polityczny czynnik, ten sąsiad konsolidował się w silne państwo i starał się odbić sobie na wschodzie te straty, jakie poniósł tracąc Śląsk i Pomorze na korzyść germańskiego świata. Czemuż jednak w XIV stuleciu my upadliśmy? Czemuż następcy potężnego Włodzimierza czy Jarosława z podmiotu stali się przedmiotem historji europejskiej, jakkolwiek dla tejże europejskiej kultury położyli niemałe zasługi? Czy może brakowało nam męstwa i heroizmu? Chyba nie. Nie brakowało nam herosów, boć Światosław wodził swe pułki aż po Dunaj, Bujtyr Wsiewołod dniem i nocą nie zsiadał z konia, nie wyjmował nóg ze strzemion, uganiając się za dziczą stepową, a wkrótce po nim pojawili się następcy jego komuników, nowocześni kozacy.

„Lecz wszystko to było bohaterstwo jednostkowe, podobne raczej do heroizmu Heraklesa czy Achilla, niż karnych rzymskich legjonów. Natomiast brakowało nam nacjonalnej solidarności; wybujały indywidualizm, który sąsiadował z anarchją, już wtedy rozbijał nasze narodowe siły. Czy nie przyczyniła się do tego o wysokim poziomie grecka kultura, która opanowała naszych przodków i nie dała im rzymskiej karności?“.

Brzmi to już dość dobrze, ale brak w tem kilku najostrzejszych akcentów szczerości. Bez tego zaś obraz nie będzie pełny.

Przedewszystkiem niezgoda trawiła naród ruski, walki i rywalizacje książęce, więcej może od napaści wrogów, rozbijały jego jedność. A potem przyszły od tychże wrogów zapożyczone metody wschodnie przejawiania „bohaterskiej indywidualności“.

Gdy ataman Sirko puszczał z dymem Bakczyseraj, to były to czyny trochę na miarę Heraklesa, lecz więcej jesz-

cze Herostratesa. W tem manifestowała się już nieokiełznana żadną głębszą myślą polityczną fantazja stepowca, rizuna, oczajduszy.

Sirko (nomen - omen), podpalacz, choć „bez sirek“, to przedstawiciel rozkładu nawet już tego gloryfikowanego indywidualnego heroizmu, to symbol jego upadku. Gdzie mu tam do dziedzictwa po Świątosławie, czy Wsiewołodzie! Taksamo gdzietam wataszce kozackiemu do stylu żołnierskiego rzymskich legjonów!

Co zaś do „greckości“ kultury ukraińskiej i stąd płynącej pewnej predestynacji, to istotnie los Ukrainy przypomina Grecję. Ukraina — Ruś św. rychło znalazła się w orbicie obcej władzy i to wcale nie tego „sąsiada, z zachodu, który stracił Śląsk i Pomorze“, a który przecież był krajem tej samej rangi kulturalnej, lecz w ramach barbarzyńskiego sąsiada z północy, z którego ziemiami dopiero na podstawie unji, między Jadwigą i Jagiełłą zawartej, przeszła do Polski. Nie będziemy przesądzać sprawy zbyt kategorycznie. Ale wydaje nam się, że w okresie jagiellońskim znalazła Ruś św. nareszcie stosunkowo najtrwalszy wyraz swych aspiracji państwowych, którego czas i charakter nie dadzą się nawet porównywać ani z okresem poprzednim, ani z następnemi „indywidualizacyjnemi“ próbami. Nie idealizując przesadnie okresu jagiellońskiego, musimy stwierdzić, że Ruś w znacznym stopniu odnalazła przez związek z nami ideał rzymskiej karności i że niestety przeciw niej występowali sami Rusini, ci, których księżna Helena nazwie „Judaszami i Kainami“.

Na te tradycje jagiellońskie powoła się następnie poeta Platon Kostecki, który na tle umowy hadziackiej, podnoszącej Ukrainę do roli trzeciego członka Rzplitej, o charakterze W. Księstwa Litewskiego, taki wypowie pean:

Hej krakiwski zwoniat zwony,
Switom hołos czuty,

Z hrobiw kliczut Jahelony
Piasty, Korybuty.
Jako Trijca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa!

Do tego to pojęcia i hasła nawiązała już dawno „Nasza Przyszłość“, wysuwając ponownie koncepcję Państwa Troistego Herbu.

Do podjęcia realizacji tego hasła istnieją liczne przesłanki historyczno - polityczne. Trzeba tylko w sposób nieuprzedzony ustosunkować się do nich. Trzeba przyjąć pozycję przychylną na ten zew Jagiellonów. Trzeba uznać, że oparcie się na tej tradycją uświęconej trójjedności politycznej stanowi jedyną drogę do ostania się w tych trudnych warunkach, w jakich od wieków znajduje się Ukraina.

Tymczasem, zamiast myśleć o analizie tego jagiellońskiego ideału trójjedności i szukać nowoczesnych form jego ujęcia, Ukraińcy, nawet najbardziej zrównoważeni, wolą bezpożytecznie biadać nad swem osamotnieniem.

Oto w tymże numerze „Mety“[1]) czytamy takie gorzkie żale:

„Gdy Clemenceau chciał Europę odgrodzić kolczastym drutem od bolszewizmu, dziś ta sama Europa wciąga Sowiety do realizacji humanitarnych haseł europejskiej, chrześcijańskiej cywilizacji, a ukraiński naród znów pozostawiony jest sam sobie w walce na życie i śmierć z barbarzyńcami, a jego osłabienie znów wykorzystują sąsiedzi do pochodu na zachodnio - ukraińskie ziemie. Czyż nie przypomina to wydarzeń po r. 1340 na tych ziemiach? Nawet zmagania dookoła unji też się do tego przyczyniają, bo przyszedł kurs na czysty rzymski katolicyzm. Poczesną nazwę ostatnich halicko - wołyńskich książąt „tarczy chrześcijaństwa“ — scutum christianitatis — przyswoił sobie sąsiad, który tanim kosztem nazwał siebie „przedmu-

---

[1]) Ukraińskie nacjonalne widrożdenja, Nr. 1. R. 1935., str. 9.

rzem chrześcijaństwa". Bo biada nieobecnym, a ich zasługi nie należą do nich".

Zacznijmy najprzód od tego przedmurza. Owszem, zgadzamy się, że nazwa ta niezawsze wyrażała w ustach polskiej szlachty właściwą treść. Dość powiedzieć, że kiedy Władysław IV zaczął szykować nieomal wyprawę krzyżową na Turcję, dając w ten sposób wyraz praktyczny dążeń rozlubowanej w „przedmurzowym" frazesie szlachty, ta szlachta właśnie stanęła mu okoniem. Ale o tych sprawach, związanych z całokształtem naszej ukrainnej, kresowej polityki, pomówimy potem.

Teraz zaś zauważamy, że niejeden sąsiad wypisywał sobie tytuł „antemurale christianitatis" czy „propugnaculum" z takiemi czy innemi odmianami. „Murum et antemurale" mówili o sobie Węgrzy i nie bez racji. Mówili tak i Bułgarzy i Bóg wie kto jeszcze, nie wyłączając zmongołowanej Moskwy — false 3-go Rzymu. Mówili tak wszyscy chrześcijanie tych krajów Europy, które w owych czasach narażone były na niebezpieczeństwo wschodnie.

Po co więc wytykać to jednemu tylko sąsiadowi? Trochę to małostkowe, a może i trochę tendencyjne.

A następnie, co do wymyślania Europie, że paktuje w imię humanitaryzmu z barbarzyńską Sowdepją i zdaje na los samotny uciemiężoną Ukrainę, tu także należy pomyśleć najpierw o obciążeniu własnego rachunku. Co „Meta" zrobi ze wschodniem zaślepieniem takich ludzi, jak Kruszelnicki, Chwilowy, Skrypnik czy Taraszkiewicz — ludzi przecież inteligentnych, którzy jednak oddali się na usługi bolszewizmu i jego jarzmo starali się włożyć na głowę własnego narodu, ukraińskiego czy białoruskiego? Położyli coprawda głowę na swym błędnym szlaku, jak położył ją Hohol. Ale czy to ostatni poputczycy? A dr. Panejko, exemplum novum moskiewskiego duru, tym razem w czapie Monomacha, zamiast pikelhauby z pentagramem sjońskim?

Nie podzielamy zdania Romana Dmowskiego, obraża ono nawet nasze ludzkie poczucie: „że lepiej mieć za sąsiada państwo potężne, choćby nawet bardzo obce i bardzo wrogie (Sowiety), niżeli międzynarodowy dom publiczny“[1]).

Los Ukrainy nie jest nam obojętny i nie są nam obojętne próby wrogów, zmierzające do zrobienia z niej „domu publicznego“. Sami jednak Ukraińcy powinni umieć przeciwstawić się tym wrogom, a zwłaszcza odpowiednio ustosunkować się do własnych ludzi, którzy tym wrogom sprzyjają.

A teraz zbadajmy nasz własny polski rachunek dziejowy na odcinku ukraińskim.

Nie ulega wątpliwości, że — jak i na innych odcinkach zagranicznych — polską politykę na Wschodzie cechuje brak celowości i jednolitości, zwłaszcza w okresie od końca XV do XVIII wieku.

O ile na początku epoki jagiellońskiej wyróżnia nas wybitnie ofenzywny, a przynajmniej pozytywny sposób odnoszenia się do problemu wschodniego — przez unję z Litwą idziemy śmiałym krokiem na Wschód, a Jadwiga zdecydowanym aktem obejmuje dziedzictwo czerwieńskie — o tyle od w. XV przechodzimy do defenzywy. Naszym ideałem staje się spokój za wszelką cenę. Coprawda już Jadwiga ostrzegała Witolda przed wciąganiem się w walki z Tatarami i dosłownie przepowiadała straszną klęskę pod Worsklą, to jednak ideał bierności militarnej, nie uzupełniony żadną akcją polityczną konsekwentną i jasną — staje się coraz bardziej obowiązujący. A nasze niedołęstwo jest tego rodzaju, że jeszcze koło r. 1695 Lwów jest zagrożony najazdem tatarskim. Co to znaczy, dość powiedzieć, że jesteśmy blisko w piętnaście lat po zwycięstwie wiedeńskiem!

Na tem tle nie trudno zrozumieć, jak źle musiał się

---

[1]) Świat powojenny a Polska. R. 1929., str. 264.

zarysować nasz stosunek do Ukrainy, Moskwy, Krymu i Turcji.

Tymczasem z chwilą wejścia w sojusz z Litwą stanęliśmy wobec otwartej kwestji rusko - moskiewskiej, od której żadnym już drutem kolczastym odgrodzić się nie mogliśmy, musieliśmy ją podjąć, wygrać, albo przegrać. No i wkońcu, poprzez najrozmaitsze etapy, przegraliśmy ją sromotnie. Pierwszą fazę tej kwestji stanowi sprawa tatarska.

Fatalnie zaczyna się ona zapowiadać już koło roku 1470, kiedy to Moskwa, rządzona przez Iwana Wasilewicza, pozostaje przez trzydzieści lat w sojuszu z chanem krymskim Mendli - Girejem, kiedy Iwan III, korzystając z tego, że więził jego rywala, chana Nur - Dewleta, poprostu szantażował Mendli - Gireja i skłonił go, aby napadł i spustoszył ogniem i mieczem „posiadłości Kazimierza Jagiellończyka — ziemię podolską lub grody kijowskie". Takie sugestje czynił car na wiosnę r. 1482, a we wrześniu tegoż roku dochodzi do skutku napad na Kijów i złupienie św. Zofji. Ale to tylko epizod, wyreżyserowany ręką Moskwy. Cały wspomniany okres sojuszu moskiewsko - tatarskiego kończy się ostateczną utratą przez Litwę stanowiska kierowniczego w świecie ruskim, utratą na korzyść Moskwy.

Odtąd idzie już właściwie wszystko po równi pochyłej, którą znakomicie rozszerza i wydłuża nasza niepewna polityka wobec Habsburgów, Turków, Mołdawian i Węgrów. Gdy taka Francja zbliżała się do swego mocarstwowego stanowiska właśnie przez sojusz z Turcją, my Polacy, obowiązujący zresztą królów w pactach conventach do zachowania pokoju z Wielką Portą, nie umieliśmy się zdecydować się ani na wojnę, ani na pokój.

Tymczasem trwały sojusz z Turcją uwolniłby Polskę od napaści tatarskich, które Turcy umieliby powściągnąć, jak umieli skarcić Paresa i Rakoczego, gdy zaatakowali Polskę.

Polska jednak nie zrobiła nic z tego, ani z Turcją nie doszła do zgody, ani Tatarom nie wypowiedziała bezwzględnej wojny. Ani nie inspirowała otwarcie „heroicznych“ wypraw kozackich na czajkach pod mury Istambułu, ani nie zmobilizowała tych kozaków przeciw Tatarom.

Ni w prawo, ni w lewo[1]).

Aż wreszcie we własnych granicach wyhodowała sobie „siczowo - hajdamackie“ niebezpieczeństwo. Dość powiedzieć, że ci siczowcy z Tatarami wkońcu pójdą przeciw Polsce. Dało to coprawda jedną z najpiękniejszych literackich scen w Trylogji: śmierć Longina Podbipięty, ze Zdrowaś Marja umierającego pod chmurą tatarskich strzał. Czy jednak ten Litwin z Mysich Kiszek, członek państwa polsko - litewsko - ruskiego, powinien był wogóle umierać w takich okolicznościach, z ręki pohańca, zaproszonego przez przedstawicieli jednej z części składowych tego państwa [2]).

Smutny to symbol literacki i dziejowy.

Podzielmy się winą jego powstania uczciwie przez pół. My Polacy tem, że sprowokowaliśmy, Ukraińcy zaś, że się odważyli na tę desperację. To był jeden z tych skoków w przepaść, w którym odezwał się ów straszny siczowo - hajdamacki kompleks.

Ale mowa jest o polskiem debet.

Otóż w tem debet zapisać musimy, żeśmy płacąc nieraz koszta kozackich prowokacji, wymierzonych w Turcję, sprawili, iż Żółkiewski „bez kozaków wojnę począwszy“ poniósł klęskę cecorską. Następnie znów sprowokowaliśmy kozaków, wybierając Wiśniowieckiego, a potem zaraz, bez wytchnienia — Turków koligacją z Habsburgami. Coprawda felix Austria nube, ale koszta tego ślubu dla Polski wypadły drogo, nadmiernie drogo. Wdzięczność zaś

---

[1]) Olgierd Górka: Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na południowym wschodzie. 1934 r.

[2]) I myśmy też mieli, coprawda, swoich Tatarów, ale i z nich też nic nie wydobyliśmy, nie licząc przyśpieszenia ich upadku.

austrjacka okazała się na wodzie pisana. Jest ona zresztą przysłowiową.

W rezultacie — ku wątpliwemu chyba zadowoleniu Mety — możemy powiedzieć, że Polska istotnie nie była „propugnacuculum“ czy „antemurale“ christianitatis, ale terenem militarnej eksploatacji przez Tatarów i Turków, z wielką szkodą samejże Ukrainy. Lecz powróćmy jeszcze do momentu wyjściowego załamania się polskiej polityki na Wschodzie. Mamy na myśli koniec XV w. W roku 1497 Olbracht przygotowuje wyprawę, mającą odzyskać Białogród. Było to celowe. Tymczasem pod wpływem namów arcybiskupa Róży i panów ziem ruskich, wyprawę skierował przeciw Stefanowi Wielkiemu, niewątpliwie w sposób najkategoryczniejszy wbrew interesom państwa. W rezultacie wskutek militarnego niedołęstwa, które się jeszcze do tego „przyplątało“, atak niewielkiego stosunkowo oddziału tureckiego akindżi wywołuje słynną klęskę bukowińską, obok Worskli, drugą klęskę, stanowiącą jakgdyby prognostyk całej polityki wschodniej[1]).

Lecz przejdźmy z tego odcinka zewnętrznego na pole polityki wewnętrznej. I tu także kompleks spraw, splątany w istny węzeł gordyjski. A więc narastanie na kresach owego elementu panów, późniejszych królewiątek, którzy, jak na zewnątrz prowadzili do Olbrachtowych klęsk, tak i na wewnątrz wywoływali nastroje, w prostej linji wiodące do Humania. Powiedzenie „za króla Olbrachta wyginęła szlachta“ da się rozciągnąć na dłuższy czasokres i na dalsze stosunki.

Te panięta miast ustalić, czy podporządkować się linji rozwojowej polskiej ekspansji, biegnącej między Dnieprem a Dniestrem, pchali Polskę na linję między Dniestrem a Karpatami.

To jedno, drugie zaś to kwestja stosunku tych wielmożów kresowych do miejscowej ludności. Nie był on zach-

---

[1]) por. Olgierd Górka. op. cit., str. 19.

wycający, to jest pewnik! Symbolem jego będzie Jarema Wiśniowiecki, którego syn okaże się zresztą najniedołężniejszym z królów. Wyszedł ten król z woli narodu szlacheckiego, jako wcielenie jego aspiracji (sic!). To już doprawdy lepiej wypadł Stefan Batory, którego nam podsunęła, ni mniej, ni więcej, Turcja.

Nieszczególnie, a mówiąc szczerze, fatalnie przedstawiała się też kwestja religijna. Mądrą politykę Oleśnickiego, pragnącego zrównać oba elementy, katolicki i prawosławny, kontynuowaną potem przez jezuitów, zalecaną przez Skargę, niestety porzuciliśmy, o ile wogóle kto się nad nią na serjo zastanawiał. Zato pełno było skarg ruskich, idących nawet aż do Stolicy świętej. Miała to wszystko załagodzić unja brzeska, ale tu znowu realizacja daleko w bok odskoczyła od programowego zamierzenia.

Te kwestje nadają się do specjalnego oświetlenia. Tu tylko zaznaczamy je, tu tylko notujemy te smutne paradoksy, jak owe cerkwie w zastawie u żydów.

Tak, myśmy prolog
Nas ledwie wczoraj z gliny ulepiono,
I naród nasz jest jako pierwszy człowiek.
Nikt z nas imienia swego nie posiada,
Nikt z nas języka, ani woli nie ma,
My — śliska mgła, my — woda niema.
My — niewidzialna ludziom widm gromada.

Tak określa swój naród Maksym Rylski, potomek szlacheckiej jego gałęzi, przemieszanej zresztą z krwią chłopską, w okresie chłopomaństwa, które u nas wydawało Tetmajerów i Rydlów, a na Ukrainie Rylskich i Antonowiczów. Nie znalazł się coprawda dotąd poeta równy Wyspiańskiemu, któryby te czasy i stosunki ujął w scenicznej szopce „ukraińskiego wesela“.

A kręci się ono i kręciło doprawdy w chocholowy — gogolowy tan. Oto szlachta ruska, potomkowie dawnej eli-

ty kozackiej i hetmańskiej, szukając nowej ideologji dla nowych czasów, znaleźli ją ni mniej ni więcej tylko w socjaldemokracji rosyjskiej. Wiemy, że i w Polsce socjaldemokracja miała niemało zwolenników, wiemy jednak, że powoli ustaliło się, wyhodowane zresztą na naszej wielkiej romantycznej literaturze, nawskroś polskie pojęcie demokratyzmu. Chołdował mu i Józef Piłsudski, który mawiał, że „socjalista w Polsce musi dążyć do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu“[1]).

Przedewszystkiem jednak zwracał uwagę na moment niepodległościowy, moment państwowy i narodowy, a potem dopiero na moment socjalny. Toteż, jak ktoś trafnie wyraził się o Piłsudskim, póki było trzeba, jechał on razem z socjalizmem, we właściwym jednak momencie wysiadł na stacji Niepodległość i już się nie obejrzał za pociągiem, pędzącym w przepaść rewolucji. Z socjalizmem się rozstał wobec rozbieżności jego kierunku ze swemi dążeniami narodowemi.

Tego, niestety, nie było u inteligencji ukraińskiej, również przeważnie pochodzenia szlacheckiego.

„Przekleństwem Naddnieprzańskiej Ukrainy było — pisze „Meta“ [2])—że ona nie poprzestała na demokratyzacji i płynącem stąd dążeniu do własnego państwa, lecz, dzięki przemożnemu wpływowi potężnej indywidualności Drahomanowa, przejęta socjalizmem, połączyła się z wszechrosyjskim obozem rewolucyjnym. Żywiono nadzieję na automatyczne zrealizowanie kulturalnych i politycznych postulatów w ramach rosyjskiej federacji“.

I tu właśnie jesteśmy u kolebki nowego, nowoczesnego wcielenia siczowo - hajdamackiej mentalności. W tem zapamiętałem trwaniu w związku z rewolucyjną Rosją wyraziło się typowo kozackie zagorzalstwo i zaślepienie, nie

---

[1]) Pisma, Mowy Rozkazy. Tom I., str. 76.
[2]) Nr. 1. — 1935 r., str. 10.

widzące realnego świata i realnych interesów swego kraju. Idące wszystkiemu, a więc ostatecznie i sobie samym, własnemu narodowi — naprzekór. W rezultacie doszło do kapitalnego konfliktu między narodowemi dążnościami, nawskroś separatystycznemi, a po doktrynersku podtrzymywanym ogólno - rosyjskim solidaryzmem rewolucyjnym.

W rezultacie, mając dwa miljony żołnierzy - ukraińców pod bronią i mogąc tę siłę rzucić przeciw Rosji, Centralna Rada w r. 1917 zaczęła „pogłębiać rewolucję“ na Ukrainie i nie zaprzestała tego dzikiego eksperymentu nawet wobec zagrożenia bolszewizmem. W rezultacie trzeba było uciekać z Kijowa, ale gdy pod osłoną austro - niemieckich bagnetów udało się doń powrócić i wtedy jeszcze Centralna Rada nie otrzeźwiała i nadal z dzikim uporem zajmowała się pogłębianiem rewolucji. Nic dziwnego, że Ukrainizm i rewolucja socjalna uchodziły za synonimy. Wtedy doszły do głosu elementy umiarkowane, konserwatyzujące, skoncentrowane koło hetm. Skoropadzkiego. I ten zresztą też uporczywie ogłaszał łączność z Rosją, oczywiście monarchistyczną i zapowiedział federację.

Jednostronnie społeczne podstawy ruchu Skoropadzkiego oczywiście postawiły przeciw niemu szersze masy, które zmobilizowano w ten sposób do wojny domowej, zamiast postawić je przeciw Rosji.

Strzelcy siczowi, po manifeście federacyjnym, zbuntowali się przeciw Skoropadzkiemu. I zaatakowali go, zamiast iść na obronę Lwowa „zagrożonego przez Polaków“(!) — jak czynią im z tego zarzut niektórzy Ukraińcy[1]).

Gdyby jednak — odpowiadają na to Ukraińcy — Skoropadzki nie ogłosił federacji, to nie byłoby powstania siczowego i Lwów zyskałby obrońców [2]). Trudno nie przyznać racji, że wpływ duchowy Rosji na Ukrainę Nad-

---

[1]) Dr. Wasil Kuczabskij. Zachodnia Ukraina w walce z Polską i bolszewizmem w r. 1918 — 23.

[1]) „Meta“. Nr. 1 — 35 r., str. 12.

dnieprzańską — jak mówi „Meta“ (str. 10) — był tragiczny. Natomiast „wpływ panującej w Galicji Polski, co dr. Kuczabskij przemilcza, był dla tutejszych Ukraińców pod względem narodowym nawet korzystny“. Przedewszystkiem Ukraińcy wiele nauczyli się od Polskiego patrjotyzmu, który kształtował się w jakąś — słowa „Mety“ — „racjonalistyczną mistykę“.

I na tej płaszczyźnie mogliby się spotkać jedni i drudzy, gdyby — według „Mety“ — nie moment pogardy dla Ukraińców, jako „hajdamaków“. Ma to być jakoby podstawowy ton w odnoszeniu się Polaków do Ukraińców. Wszystko, co ukraińskie, w oczach Polaka miałoby być minderwertig. Zwłaszcza — na co zgodzić się można — narodowa demokracja uprawiała hasło „narodowego ludożerstwa“ — według trafnej terminologji W. Lipińskiego[1]).

Nie ulega wątpliwości, że tak skrajnie eksterminacyjne hasło mogło być udziałem tylko pewnych zamkniętych kół. Dążenie do integralnej polonizacji czy nawet kolonizacji polskiej na Ukrainie było właściwe tylko pewnej kategorji szowinistów, zapominających o tradycjach polsko - ruskich. Odpowiedzią na to było powstanie szowinizmu ukraińskiego, nie mniej ludożerczego, a w tych warunkach doszło do zamordowania w r. 1908 hr. Andrzeja Potockiego przez Mirosława Sicińskiego.

A potem doszło już nieomal do otwartej wojny, kiedy to młodzież akademicka polska i ruska szła na siebie z rewolwerami.

„W tym stanie podjudzania i nienawiści — powiada dr. Kuczabskij — weszły oba narody w epokę wojny światowej“.

Jak teraz pogodzić tę opinję z korzystną bądź co bądź oceną wpływu duchowego Polaków galicyjskich na narodowe życie Ukraińców?

Coś tu w nieporządku. Ale co? Co tu bruździ?

---

[1]) Przegląd Krajowy. R. 1909.

Odpowiemy krótko: właśnie ów kompleks siczowo - hajdamacki.

„Meta" zestawia z ironicznym grymasem taką tabliczkę dat:

W oczach niezadowolonych Polaków Ukraińcy po roku

1848 —	występując przeciw rewolucji byli narzędziem austrjackiej intrygi,
1868 —	występując z hasłem „trójjedynej Rusi" szli na pasku rosyjskiej intrygi,
1876 — 1880	to chwilowy rozejm,
1900 — 1909	znów przeciw Polakom pod dyktando austrjackiej intrygi, ofiarą pada A. Potocki.
1910 — 1923	komplet intryg powiększa „intryga niemiecka".

A jednak w tem zestawieniu jest pewien przykry smaczek, obciążający rachunek ukraiński stygmatem owego nieobliczalnego ducha „siczowo - hajdamackiego".

Kolekcję tych dat możemy jeszcze powiększyć:

1923 —	prezes Z. O. U. N. R. — Petruszewicz przechodzi do bolszewików.
1923 — 1934	Skrypnik, Taraszkiewicz, Chwilowyj, Kruszelnicki na chlebie bolszewickich dobrodziejstw dochodzą do samobójstwa. Za to u nas szaleją sabotażyści i terroryści. Ich ofiary: Sobiński, Hołówko, Pieracki, Babij.
1935 —	dr. Panejko, były minister spraw zagr., korespondent „Diła", przechodzi do obozu kadetów Milukowa.

W zrównoważonem społeczeństwie takie dywagacje są nie do pomyślenia. I jakąż to ewangelję ogłosił nam dr. Panejko roku pańskiego 1935, a więc w połowie wieku XX, dzięki Bogu — w trzysta lat blisko po Bohdanie Chmielnickim, „nierozumnym synu" Ukrainy?

Całe nieszczęście widzi on w rozerwaniu ziem ruskich wskutek „przyłączenia Galicji Wsch. do Austrji przez nędzną księżniczkę niemiecką Katarzynę II“.

Germanizacja typu austrjackiego początkowo nie wpływała źle, denacjonalizująco. Dopiero znacznie później „bezkształtna rusińska masa stała się objektem eksperymentu narodowościowego w rękach władzy polsko - austrjackiej. W tej masie troskliwie kultywowano separatyzm antyrosyjski.

„Ostry ukrainizm antyrosyjski stał się narzędziem zagranicznej polityki Franciszka Ferdynanda. Działanie tego narzędzia stało się bardziej widoczne podczas wielkiej wojny i rewolucji rosyjskiej. Obecnie ukrainizm antyrosyjski stanowi narzędzie polskiego i niemieckiego imperjalizmu, albo też, mówiąc ściślej, narzędzie „Drang nach Osten“ Hitlera i Piłsudskiego“[1]).

I cóż na to Ukraińcy?

„Diło“ delikatnie usprawiedliwia swego b. korespondenta i powiada, że: w sumieniu jest możliwe „połączenie rusofilizmu z patrjotyzmem ukraińskim“. Jedynie „Nowyj Czas“ (Nr. z 5. IV — 35 r.) mocno stwierdza, że czyn Panejki „był bezwstydnem i nikczemnem oddaniem się wrogom naszego Wyzwolenia narodowego, pozyskaniem ich uznania, a w zdradzonym narodzie zasłużeniem sobie na miano Judasza“.

Jak widać, od czasów księżnej Heleny nie wiele się zmieniło: zmawianie się z Rosją przeciw własnej ojczyźnie i przeciw tym, którzy mogliby jej pomóc. I jakże tu o takich zdrajcach nie wołać za księżną Heleną: „Kainy i Judasze“!

A dalej, co myśleć o narodzie, w którym możliwe są mutacje tego rodzaju·jego najbardziej szczytowych przedstawicieli? Czy doprawdy nie ma racji E. Małaniuk, mówiąc,

---

[1]) Poslednija Nowosti. „K waprosu ukraiskomu“. Kwiecień.

że „Ukraińcy to naród, ale za pięć minut"? Zaraza moskalofilska nie jest odosobniona.

Oto niejaki Andrej Kaminskij, nawiązując aż do czasów Chmielnickiego[1]), powiada, że Bohdan Chmielnicki „wyzwolił Ukrainę z pod Polski i poddał ją pod jarzmo lżejsze i za to należy mu się podzięka i chwała" (str. 51). Po nieprawdopodobnych saltomortale na terenie zagadnień geopolitycznych woła wkońcu: „Galicja winna szukać pomocy na Wschodzie według osobistych zainteresowań u Ukraińców, czy to z ręki Moskali, postępowców czy konserwatystów, bolszewików lub reakcjonistów" (str. 74).

Tego rodzaju oportunizm szczerzy do nas zęby w typowo „siczowo - hajdamackich grymasach" przekory i drwin w żywe oczy.

Oto jeszcze jedna próbka mentalności Kaminskyego. Woła on w innej broszurze[2]): „Rozpadnięcie się Rosji, nawet nie ostateczne, tworzy na naszych (ruskich) ziemiach automatycznie Polskę".

Strachy na lachy — panie Kaminskyj. Chcielibyśmy w to uwierzyć. I prosimy p. Kaminskyego, by nam zafundował ten „automat" z wielkomocarstwowemi czekoladkami. Może sobie z niego wyrzucimy jeszcze parę peryferycznych prowincji.

Ciekaw jestem tylko, co zyskaliby Ukraińcy, gdyby przyszła trójjedyna Rosja. Czyż mamy im przypominać słowa grafa Bobrinskyego w czasie pierwszej inwazji rosyjskiej do Galicji: „Wschodnia Galicja i Łemkowszczyzna od najdawniejszych czasów stanowią „karennuju czast'" niepodzielnej, wielkiej Rosji".

Oto, jaka pomoc może przyjść ze Wschodu, jakie zbawienie i wyzwolenie! Ale ludzie o „siczowo-hajdamackiej" przewrotnej mentalności zawsze będą upierać się przy swoich błędach.

---

[1]) Andrzej Kaminskyj. Galiczyna Piemontom. Lwów, 1924 r.

[2]) Andrzej Kaminskyj. Zahadka Ukrainy i Galicji. R. 1927. Lwów, str. 35.

I przy swej judaszowej polityce powtórzmy za „Nowym Czasem“, który, jak widzieliśmy, nie szczędzi surowych słów dla rozprawienia się z nowoczesną chlestakowszczyzną, jednem słowem z bezkrytycznem rusofilstwem. Jeden z jego typów „wywodzący się od Drahamonowa, likwidują znów inni[1]). „Drahomanow wykopał dla ukraińskiej myśli politycznej wilcze doły moskalofilstwa“. I w tych dołach ukrainizm połamał nogi. Dość przypomnieć niepowodzenia Ukrainy naddnieprzańskiej w r. 1917, kierowanej przecież przez drahomańską radę centralną [2]).

Możnaby dłużej jeszcze rozwodzić się nad tym problemem. Wystarczy jednak i tego, by zrozumieć niebezpieczeństwo siczowo - hajdamackiej psychiki.

Losy, jak powiedziałem, związały Polskę z Rusią, Ukrainą. Mamy za sobą wielkie daty, jak przejęcie Grodów Czerwieńskich przez Jadwigę, unję lubelską i brzeską, Cecorę i Chocim, układ w Hadziaczu i Wiedeń, w którym biorą też udział wojska ukrainne pod wodzą Sobieskiego, wtedy króla Jana III, ongiś wojewody lwowskiego. Od Chrobrego i Krzywoustego, przez księżniczkę Sonkę i Helenę, przez Ostrogskich, Żółkiewskich, Sapiehów i Mazepów czy Kisielów, przez Piotra Mohyłę czy Andrzeja Bobolę — idzie długi korowód postaci, w których zrastają się we wspólnym pniu dzieje polskie i ruskie.

Od legendarnego Wernyhory przez „Złotą czaszkę“ Słowackiego, przez dumki Bohdana Zaleskiego ku Tymkowi Padurze płynie mit i pieśń ukrainna, płynie myśl polityczna ukrainnego autonomizmu polskiej orjentacji (por. Stefan Szczurat).

Do wspólnego dziedzictwa tej ziemi Hohol wzywa Bohdana Zaleskiego „ziomka bardzo, bardzo bliskiego, jeszcze bliższego sercem, niż wspólnością ziemi“ (z listu 1837 r.) — ten Hohol, który przeżywa zasadniczy roz-

---

[1]) M. Mudir. Cienie niezapomnianych przodków. Wistnik, 1934 r.
[2]) Nowyj Czas. Budzynskyj. Wspomnienia. 9. V. 1934 r.

dźwięk między ukrainnem praźródłem swej kultury a kacapską jej narzuconą orjentacją.

Od Złotej Bramy, naznaczonej mieczem Chrobrego, przez malowidło gotycko-bizantyńskie w Lublinie, przedstawiające Władysława Jagiełłę, przez kaplicę świętokrzyską w Krakowie i nagrobek żony Zygmunta Trzeciego; przez św. Zofję, odnowioną staraniem Mazepy, przez Poczajowską twierdzę jezuicką — idzie nić związku kulturalnego Rusi z Polską.

Od Jana Szczęsnego (Herburta), co biadał nad „niechęcią narodu ruskiego naszemu" w swem „Zdaniu o narodzie ruskim" [1]), ku Wacławowi Lipińskiemu, który, przypomniawszy tę skargę z r. 1613, nawiązywał ku wspólnocie ukrainnej polsko - ruskiej.

A temu wszystkiemu przeciwstawia się kompleks siczowo - hajdamacki.

Jest więc Bohdan Chmielnicki, któremu w Kijowie pomnik postawili Moskale, jest Krzyczowski — którego ostatnie chwile przypadły nie na palu, ale w rewerencji, godnemu wrogowi należnej (jak świadczy radziwiłłowski arras). I był do niedawna niesłychany dziwoląg — całoroczne wyklinanie Mazepy w św. Zofji, jego sumptem odnowionej.

Gdy jednak dziś, po zniknięciu w ruinach Złotej Bramy, bolszewikom przychodzi chęć zburzenia katedry kijowskiej — przestanie już może pokutować między nami duch nienawiści i nieporozumień, przestanie uwodzić ukraińców moskalofilstwo.

Może zechcą się wmyśleć w hasło, rzucone w czasie inwazji rosyjskiej do Galicji: „Śmierć mazepińswu i koniec unji, dwum czynnikom, wymyślonym i stworzonym przeciw Rosji ze strony jej wrogów" [2]).

Może załamią ręce nad wynikami hasła bolszewickie-

---

[1]) Z dziejów Ukrainy. Księga Zbiorowa. Kijów, 1912., str. 92.
[2]) Gołos Naroda, art. Iwanowa. Lwów, 1914. Nr. 30.

go: „Ukraina z sowiecką treścią“, wynikami, podobnymi do tych, jakie dało hasło: „Ukraina z istinnoruską treścią“, z wynikami „zlewania się słowiańskich ruczjow w ruskom more“ — według definicji Puszkina, metysa w kacapskim kostjumie. Może zastanowią się nad tem, jaki nadać kierunek rosnącemu wśród oszukanych przez bolszewików mas na Ukrainie nacjonalizmowi.

I może na tle tego wszystkiego policzą wszystkie zdobycze, jakie przyniosło Ukrainie współżycie z Polską, zdobycze, przewyższające straty i niesnaski.

Może uprzytomnią sobie, jak to wykazał Kolankowski, te ogromne ofiary w wydatkach ze skarbu, nieraz blisko 50 procent budżetu, ten nakład siły zbrojnej, który rzucaliśmy na obronę kresów, roku 1920 nie wyłączając. Może policzą krew i pot tych ośmiu prawie miljonów ludu pochodzenia polskiego, który wsiąkł w teren Ukrainy od czasów działalności rusyfikatorskiej i narzucania prawosławia przez Katarzynę II — tę „nędzną księżniczkę niemiecką“ — jak powiada Panejko (por. Czarnowski).

Czyż można zapomnieć o tej hekatombie, utopionej w „mętnej wodzie“ ruskawo moria (Moskwa po fińsku oznacza „mętna woda“)?

Czy my Polacy możemy o tem wszystkiem zapomnieć? Czy możemy uważać pojęcie Ukrainy za oderwane od naszych dziejów? — Nigdy! **W pojęciu Ukrainy zlewa się polskość i ruskość w organiczną całość.** Istnieją polityczne i historyczne racje dla których Ukrainiec tak dobrze równa się Polakowi, jak Rusinowi. (Ukrainiec — Rusin — Polak z Ukrainy).

Dlatego nie pozwolimy, by z pojęcia Ukrainy robiono sztandar dla jakiegoś szowinizmu lokalnego. Na Ukrainie zrosły się ze sobą dwa narody, jak Kastor z Polluksem i fakt ten musi stanowić przesłankę całej polityki ukrainnej.

Uczeni historycy winni uprzystępnić ten materjał, który mówi o roli Polski na Ukrainie i o przeszkodach, jakie

jej stawiał czynnik siczowo - hajdamacki. Zadaniem działacza jest wysnuć stąd praktyczne wnioski".

Na podstawie tego referatu wywiązała się obszerna i bardzo ciekawa dyskusja, w której zabierali głos pp. wiceprezes Związku Stanisław Meyer, docent historji na uniwersytecie warszawskim Janusz Pajewski, Stanisław hr. Rostworowski, prof. Ludwik Górski z uniwersytetu lubelskiego, wreszcie w odpowiedzi na podniesione w dyskusji kwestje referent.

Następnie przewodniczący odczytał poniższe uwagi, przesłane listownie z Wilna przez profesora dra Franciszka Bossowskiego.

„Bardzo żałuję, że z powodu ważnych zajęć, które nie pozwalają mi w tej chwili wyjechać z Wilna, nie będę mógł wziąć udziału w dyskusji nad tak dla nas ważną sprawą ruską, której szczęśliwe rozwiązanie przesądzi na korzyść i sprawę białoruską, a może nawet litewską. Będąc we Lwowie dłuższy czas, pracując w biurze kościelnem ruskiem ówczesnej Prokuratorji Skarbu, stykając się z Konsystorzami grecko-unickimi, stykając się z tamtejszem ziemiaństwem, a nadto przebywszy we Lwowie straszne czasy ukraińskiego zamachu stanu z r. 1918, następnie obrony i blokady Lwowa, zdołałem nieco poznać obydwa odłamy narodu ruskiego, t. j. ukraińców i moskalofilów czyli starorusinów. Grzechem pierworodnym Ukraińców jest geneza tego ruchu, mianowicie ta okoliczność, że wywiązał się on z ruchu nie narodowego, lecz socjalnego i, pomimo szczerych usiłowań całego szeregu jednostek, **ruch ten dzisiaj jest więcej ruchem socjalnym, niż ruchem narodowym;** powiedziałbym, że siłę swoją atrakcyjną wobec mas czerpie on stąd, iż jest ruchem socjalnym, a przywódcy usiłują doń przeczypić etykietę ruchu narodowościowego i w taki ruch go przemienić.

Grzechem pierworodnym moskalofilów są tradycje prawosławne, które na Rusi Czerwonej miały jakiś grunt

bardzo podatny (lwowska Stauropigja, obok Ławry Peczerskiej, była główną ostoją prawosławia), a pomimo synodu zamojskiego (1700) i pomimo przystąpienia do unji metropolji lwowskiej, duch prawosławny, a z nim i pewne ciążenie polityczne do Rosji, utrzymały się nadal. Rząd austrjacki, a raczej gubernator Stadion, otaczali sympatją ten ruch, nie odróżniając Rusinów od Rosjan, z którymi wówczas, około roku 1848, łączyły Austrję węzły przyjaźni i uważając go za nieszkodliwe antidotum przeciwko ruchowi narodowemu polskiemu. Bolszewizm odjął oczywiście Rosji tę siłę przyciągającą, którą miała w oczach moskalofilów, gdy była prawosławną i carską, ale pozostałością ducha prawosławnego jest silna niechęć do katolicyzmu obrządku łacińskiego i instynktowne szukanie oparcia intelektualnego w kulturze rosyjskiej dla ochrony przeciw polonizacji, grożącej Rusinom skutkiem wyższości polskiej kultury.

Dla państwowości polskiej nie będą groźne prawa językowe Rusinów (uwzględnienie języka ruskiego w urzędach, szkołach i t. d.), ale niebezpiecznem jest to, że każda placówka pracy publicznej, do której się dostaną Rusini, zostanie przez nich nadużyta dla kierunków, do których Rusinów popychać będzie grzech pierworodny jednego czy drugiego stronnictwa ruskiego.

Do tego, co powyżej powiedziałem, przyłącza się jeszcze jedna okoliczność, na pozór niewinna, w istocie jednak dość doniosła w swych następstwach. Duchowieństwo unickie pracuje bardzo gorliwie i wydatnie na polu samopomocy gospodarczej, wszystkie „szczadnice“ wszystkie „sojuze“ mleczne, maślane i t. d., kasy oszczędnościowo - zaliczkowe, tak potrzebne włościaństwu, zorganizowane były przez duchowieństwo unickie i kierowane przez to duchowieństwo (ja, jako urzędnik Prokuratorji Skarbu, późniejszej Prokuratorji Generalnej, miałem dość zatargów z duchowieństwem unickiem, które fundusze fundacyjne chciało lokować w tych instytucjach, gdy ja musiałem pil-

nować tego, aby te fundusze były ulokowane w sposób, dający bezpieczeństwo pupilarne), a kierując temi instytucjami samopomocy gospodarczo - finansowej, duchowieństwo unickie trzyma pilnie w zależności od siebie włościanina ruskiego.

Wielkim wkońcu minusem dla sprawy polskiej jest upadek polityczny i gospodarczy ziemiaństwa, które w b. Wschodniej Galicji było prawie wyłącznie polskiem i gorąco patrjotycznem. W kraju rolniczym punkt ciężkości leży na wsi, nie w mieście. Póki na wsi ziemianin był naprawdę materjalnie niezależny, tak długo jego wpływ na ludność właściańską był bardzo silny i to przedewszystkiem z przyczyn gospodarczych, gdyż bez zarobku we dworze nie mógł się obejść nietylko małorolny włościanin, ale nawet i zamożny (zwożenie drzewa z lasu do kolei dawało bardzo dobry zarobek gospodarzom wtedy, kiedy nie było robót polnych i t. d.). Te możności zarobku były poniekąd przeciwwagą dla zależności gospodarczej, w jakiej włościanina ruskiego trzymały instytucje finansowe, kierowane przez duchowieństwo unickie; dziś wpływ ten zmalał do zera. W dodatku bardzo silnym był wpływ kultury polskiej, promieniującej z dworów polskich. Do dworu na służbę szły chętnie córki nawet zamożnych włościan, gdyż uważano, że służba we dworze jest dobrą szkołą na gospodynię, a obok tego ten dwór był przedstawicielem tej prawdziwej kultury „pańskiej“, **do której każdy tem bardziej chce się zbliżyć, im bardziej jest radykalnie i demokratycznie nastrojony.** Dwór, który jest w przededniu licytacji i wyprzedaje powoli swe zbiory, bibljotekę, sztychy i t. d., tej siły atrakcyjnej już nie wywiera.

Jestem oczywiście bardzo daleki od występowania przeciwko represjom, które były konieczne dla stłumienia groźnych rozruchów w województwach lwowskiem, tarnopolskiem, stanisławowskiem i pamiętam o słowach, które Zygmunt Krasiński wkłada w usta Ulpiana: „Kto winnym przebaśza, ten kiedyś będzie musiał karać niewin-

nych“, ale samo stłumienie rozruchów nie jest jeszcze zażegnaniem niebezpiecznego kierunku, w którym sprawa polska poczyna się toczyć dziś na Ziemiach Wschodnich Polski, gdzie jesteśmy przedmurzem nietylko Polski, ale i cywilizacji chrześcijańskiej, zachodnio - europejskiej“.

Zamykając zebranie, skonkretyzował przewodniczący praktyczne zadanie Sekcji w sposób następujący:

Dołożenie starań o powstanie w polskich sferach naukowych i wśród znających sprawę rusko - ukraińską polskich działaczy specjalnej szkoły historycznej, któraby podjęła badania rewizjonistyczne nad incydentem siczowym w dziejach narodu ruskiego i nad wpływem tego incydentu na psychikę i politykę dzisiejszego ruskiego społeczeństwa w granicach Rzeczypospolitej, następnie zaś lub równocześnie wytworzenie odpowiedniego ruchu także i w pewnych rusko - ukraińskich ośrodkach intelektualnych. W ten sposób na miejscu wiecznie a nieproduktywnie bojowego typu Ukraińca powstanie spokojniejszy typ Rusina, opartego mentalnie o daleko szlachetniejszą od siczowej tradycję własnego narodu i dlatego pozytywniejszy w ujęciu własnej, ruskiej racji stanu, sprzężonej organicznie i geograficznie z racją stanu wspólnego państwa „o troistym herbie“.

„Tak jest — powtórzył dr. Bobrzyński — organiczną i geograficzną racją stanu Polaków, Litwinów i Rusinów jest przywrócić to, co w poprzednich wiekach niemal automatycznie nastąpiło — ale przywrócić oczywiście w poprawniejszem wydaniu — mianowicie zespolenie się tych trzech narodów w Rzeczypospolitej troistego herbu. Nie przesądzam, jaką ma być forma tego zespolenia, jakie jej wspólnoty i odrębności, ale to głębokie mam przekonanie, że w danem położeniu geograficznem i politycznem ludów, skupionych na tym obszarze Europy, jest koniecznością trzymania się razem, aby nie być znowu rozdartym i niszczonym. Jeszcze Polacy lepiej dadzą sobie z tem radę, ale Litwinom i Rusinom grozi przy dalszem kontynuowa-

niu nierozumnego separatyzmu i obawy przed wspólnotą państwową trójherbowej Rzeczypospolitej stopniowa nieuchronna zagłada.

„Część nieprzejednanych Litwinów, podjudzonych polityką rusyfikatorską, a potem pruską, utworzyło sobie za zezwoleniem jakiegoś niemieckiego generała małe a zabawnie czupurne państewko „suwerenne“, oczywiście dlatego, żeby w niedalekiej już może przyszłości zniszczyć do reszty litewskość pod panowaniem obcem, pod które odszczepiona od macierzystego pnia Kowieńszczyzna niezawodnie się dostanie. A przecież przy innej orjentacji mogliby Litwini, jak ongiś, w Wilnie panować! Ale trzeba było przynajmniej przy końcu wojny światowej podjąć z głębszą myślą polityczną sztandar o troistym herbie.

„Podobnie i Rusini. Nie rozumieją tego i jako wyznawcy ideału krwawego noża hajdamackiego zrozumieć nie mogą — że każdy cios tego noża w Polskę, a więc i w pojęcie organiczno - historyczne troistej Rzeczypospolitej, daleko głębiej wrzyna się w trzewia i w rację stanu narodu ruskiego, niż w silny organizm obecnej Polski. To już nie Kisielowe czasy, ani nie saskie, gdzie ze słabą Polską mógł każdy wyrabiać, co zechciał. My się dzisiaj bez Rusinów ostatecznie obejdziemy, choć zapewne z nimi w parze bylibyśmy jeszcze mocniejsi. Ale co poczną na serjo bez nas Rusini? Swego nie damy — o tem nawet niema co gadać — a wyrzucanie przez ukrainizatorów pieniędzy na kolonizatorski podbój Małopolski jest lokowaniem kapitału na bardzo kruchą hipotekę. Bo jedna wojna, zwycięska dla Polski lub przegrana, która tamtędy przejdzie, zmieni odrazu ten ukrainizatorski stan posiadania, zmiecie z powierzchni ziemi ukrainizatorskie spółki i kooperatywy, a księgi hipoteczne spali. Polska nie jest dzisiaj w każdym razie ani tak naiwna, ani tak słaba, żeby zmądrzeć dopiero po ruskiej szkodzie, ale szkodzie tej potrafi zawczasu zapobiec. Nie pozwoli na tworzenie się w dotychczasowych swych granicach państwowych jakiegoś państwa polsko -

ukraińskiego, czegoś na kształt dawnej monarchji austro - węgierskiej, z terytorjalną przewagą po ukraińskiej stronie, co, wobec sytuacji Ukraińców w Rosji, stanowi widoczny cel naszych domowych ukrainizatorów. A jeżeli liczą na czeską pomoc, czego na serjo nie przypuszczam, to powinni wiedzieć, że ustalona niedawno linja samolotowa Praga — Moskwa jest wymownym wyrazem dążeń „braci z nad Wełtawy“, którzy w danym wypadku przeszliby nad sprawą ukraińską z drwiącym a cynicznym śmiechem. Bo czyż Pradze lub Moskwie potrzeba ukraińsko - hajdamackich herojów, albo poparcia Świętojurskiego wzgórza w „istinno-rosyjskim“ Lwowie?!

„Niema więc dla rozumnej racji stanu ruskiego społeczeństwa innego wyjścia, jak podnieść starodawny herb św. Michała Archanioła i umieścić go na sztandarze troistej Rzeczypospolitej. W przewidywaniu tej konieczności dziejowej i tego faktu idziemy naprzód z naszą Sekcją i szkołą!“

PRZESZKODA W PIERŚCIENIU BEZPIECZEŃSTWA.

Zdaniem naszem — które zresztą podziela niejeden wybitny, fachowy dyplomata — najwyższą sztuką dyplomatyczną jest: mówienie prawdy. Jeżeli dzisiejsza Europa cierpi na niesłychaną komplikację w stosunkach międzynarodowych, pogłębianą jeszcze w dodatku istną paktomanją, to jednym z ważnych powodów tego stanu rzeczy, tej powszechnej nieufności i niepewności, jest zbyt przesubtelniona sztuka dyplomatyczna. Waży się na miligramy, jak na wadze chemicznej, każde słówko, każdy zwrot lub formułkę, które wyrwą się celowo lub przypadkiem gdzieś z ust jakiegoś dyplomaty, oblężonego na schodach przez dziennikarzy — i właśnie wskutek tej nadmiernej subtelności i nadmiernie dokładnego ważenia każdego słówka nikt tym słówkom i zwrotom na serjo nie wierzy.

Niepewność sytuacji pogłębia nadto powszechne przeświadczenie, że niezliczone fakty zdają się przeczyć niezliczonym paktom.

A mieliśmy w przeszłości przecież liczne przykłady, gdy prawdziwie wielcy mężowie stanu mocno i wyraźnie zdanie swe wypowiadali, nieraz bijąc pięścią w stół i dlatego sytuacja była jasną i — pokój był w Europie.

Przypominamy krótkie, jasne, żołnierskie zapytanie, zadane przez ś. p. Marszałka panu Waldemarasowi na rozgłędzonem krasomówstwem posiedzeniu Ligi Narodów: „Więc jakże — pokój czy wojna?“. Sytuacja momentalnie się wyjaśniła, pan Waldemaras w pas się ukłonił i tryumf Polski był zupełny.

Albo mocne, bezapelacyjne oświadczenie ministra Becka, że Polska zrzuca upokarzającą ją klauzulę mniejszościową. Wrażenie ogromne, powszechna konsternacja i —

nic więcej. Polonia locuta — causa finita, sytuacja jasna. O żadnych dalszych komplikacjach, ani tem mniej groźbach wojennych, nie było mowy.

Bo mylą się ci kapitalnie, którzy w niemęskiem uczuciu strachu sądzą, że wojna wybuchać może z twardej polityki i zdecydowanego słowa. Przeciwnie, z mocnej polityki i jasnego, zdecydowanego gestu wypływa pokój, a wojna lub groźba wojny są zwykle wynikiem czyjejś słabości i braku decyzji. Na takiego słabeusza ostrzą sobie zęby inni i w odpowiedniej chwili na niego napadają, aby wykorzystać jego — tchórzostwo. I na to żadna, nawet najsubtelniejsza i „najtaktowniejsza" sztuka dyplomatyczna nie pomoże.

Dlatego sądzę, że i w tej sprawie, którą niniejszem chcę poruszyć, wyłożenie kart na stół i mocne postawienie kwestji jest ze wszech miar wskazane i idzie nie po linji komplikacji międzynarodowych, ale wprost przeciwnie — po linji pokoju.

Każde państwo i każdy naród, dbały o swą przyszłość i o pokój, dąży do otoczenia się pewną przyjazną atmosferą ze strony sąsiadów, czyli — jak to Nasza Przyszłość nazywa — „pierścieniem bezpieczeństwa", budowanym w najrozmaitszy sposób: umowami, sojuszami, zacieśnieniami przyjaznych stosunków kulturalnych i gospodarczych i t. p.

Podobnie, jak inni, stara się czynić to i Polska — i to nietylko jej sfery oficjalne, ale także i prywatne. Dowodem tego dwa wielkie porozumienia w sprawie nieagresji, zawarte z naszymi najmocniejszymi sąsiadami, nasz sojusz z Rumunją i różne nasze usiłowania zacieśnienia dobrych stosunków ze wszystkiemi innemi, bezpośrednio lub niedaleko sąsiadującemi państwami, nie wyłączając Czechosłowacji, chociaż ta stale jest wrogo przeciw Polsce nastrojona i szkodzi jej od szesnastu lat, gdzie i jak tylko może. Powstały nawet liczne prywatne polskie zrzeszenia, które dobre stosunki z sąsiedniemi społeczeństwami na polu kul-

turalnem i gospodarczem, a w naturalnej konsekwencji także i politycznem, starają się rozwijać. Nie brak w tem też i zrzeszeń polsko - czeskich, które aż zanadto starają się przychylność Czechów pozyskiwać.

Nasza Przyszłość poszła jeszcze szerzej, wysuwając i uzasadniając w licznych artykułach od szeregu lat koncepcję „Bloku dziewięciu państw środkowo - wschodniej Europy“.

Ale właśnie dla pomyślnego rozwoju całej tej wielkiej pokojowej akcji, którą różnemi drogami rząd i naród polski stara się rozwijać, aby wzmocnić moment bezpieczeństwa na szachownicy otaczającej państwo nasze, a srodze poszatkowanej części europejskiego kontynentu, niezbędnem jest jasne i wyraźne piętnowanie przeszkód, które stają wpoprzek tej akcji i mogłyby ewentualnie pokój w tej części kontynentu zakłócić, a narazie co najmniej wielce komplikować położenie.

Stąd występujemy tak zdecydowanie w artykułach Naszej Przyszłości, na zebraniach Związku Polskiej Myśli Państwowej — i gdzieindziej jeszcze — przeciw antypolskiej polityce czeskiej, mobilizującej, wedle swych możności, cały świat przeciw Polsce. Bez przesady można powiedzieć, że cały świat, gdyż wpływy czeskie i wroga nam propaganda naszych „braci słowiańskich“ z nad Wełtawy sięgają wszędzie, nawet do Ameryki, gdzie tylko jakieś wrogie Polsce konspiracje irrydentystyczne działają. Równocześnie budują Czesi całkiem otwarcie polityczny i militarny pomost z Pragi, przez nieszczęsną Słowację, Ruś Zakarpacką i naszą wschodnią Małopolskę do Moskwy. A ponieważ jedno przęsło tego pomostu nie może „narazie“ budować się otwarcie przez naszą Łemkowszczyznę i Małopolskę wschodnią, chyba tylko pokątnie, drogą konspiracyjną, dlatego postanowili Czesi wystawić „narazie“ przęsło pomocnicze przez północną Rumunję. Objawiło się to nazewnątrz w oficjalnem zezwoleniu Rumunji na linję powietrzną Praga — Moskwa, przechodzącą przez tery-

torjum rumuńskie, przy równoczesnem odcięciu przez Czechów naszej bezpośredniej lotniczej komunikacji z południem.

Wrogi pierścień zaczyna od południa nas blokować. A to, co nas w tem najbardziej boleć musi, to fakt, że zaprzyjaźniona nam Rumunja zezwala na takie okrążenie swego sojusznika — Polski.

O tem właśnie chcę mówić, bo to jedna z tych spraw, których przemilczanie byłoby ową wyżej wspomnianą, błędną, przesubtelnioną „sztuką dyplomatyczną".

Interes Rumunji nie jest w głębszej istocie rzeczy identyczny z interesem Czechosłowacji i stworzonej przez nią koncepcji Małej Ententy, wymierzonej jedynie tylko na utrzymanie status quo rozbioru Węgier. Przypomina to w stu procentach przymierze trzech cesarzy dla utrzymania w mocy rozbiorów Polski. Jeżeli tak potężne przymierze nie było w stanie celu swego osiągnąć, to nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że i podobny związek trzech bądź co bądź znacznie mniejszych i słabszych krajów celu swego na nieco dłuższą metę nie osiągnie. Natomiast żadnej również nie może ulegać wątpliwości, że główny, kardynalny interes Rumunji jest ten sam, co i Polski: niebezpieczeństwo od wschodu. Stamtąd właśnie, a nie skądinąd, może spaść kiedyś na Rumunję nawała. A przeciw tej nawale Czesi bronić Rumunji nie będą, skoro przecież nawałę tę do środkowej Europy poprzez terytorjum rumuńskie i polskie ściągają. Raczej przypuszczać należy, że w razie inwazji wschodniej nawały na Rumunję w kierunku Pragi lub Konstantynopola, odwiecznego celu Moskwy — pułki czeskie ruszą przez Marmaros - Sziget na przyjacielskie spotkanie swych upragnionych braci słowiańskich, choćby ci bracia byli nadal sowieckiego wyznania.

Tak, a nie inaczej, skończy się wówczas naiwna sielanka Małej Ententy, w którą Rumunja dała się wciągnąć przeciw najżywotniejszym swym interesom, a tylko ad

usum praskiego Delfina. Obawiając się ataku Węgrów na Siedmiogród, który jej orężnie z pewnością nie grozi, ostrzy sobie Rumunja miecz na własną głowę, zasłaniając sobie oczy na daleko większe i realniejsze niebezpieczeństwo, w które wtrąca ją sprytna czeska polityka.

Poznała się na tem już Jugosławja i — jak dobrze wiadomo — zaczyna Małą Ententę coraz wyraźniej bojkotować. Jest mądra, bo nie chce wyciągać gorących kasztanów z pieca dla Czechów. Na niedawnej konferencji mężów stanu Małej Ententy w Bukareszcie, minister spraw zagranicznych Jugosławji wystąpił gwałtownie przeciw prosowieckiej i probeneszowskiej polityce tego rumuńskiego męża stanu, który, idąc na czeskim pasku, wtrąca Rumunję, a pośrednio i Jugosławję, w arcyniebezpieczną sytuację.

Tym rumuńskim mężem stanu jest p. Titulescu.

Rumunja jest w przymierzu z Polską, ale p. Titulescu nie. Naszem zdaniem prowadzi on złą i samobójczą dla Rumunji politykę. Ulega narkozie różnych sprytnych fikcji p. Benesza, a rzeczywistości rumuńskiej nie widzi, czy ją negliżuje. Jest ministrem spraw zagranicznych nie tyle Rumunji, ile raczej Małej Ententy w jej beneszowskiem ujęciu. Czesi, aby za wszelką cenę, nawet za cenę własnej egzystencji, utrzymać wszystkie swe rabunkowe zdobycze na nizinie węgierskiej, weszli na tory polityki rozpaczy i wiążąc się z Moskwą, torują jej drogę do Pragi. A. p. Titulescu, opanowany psychicznie przez Benesza, pomaga tej czeskiej polityce rozpaczy, nie zastanawiając się — zdaniem naszem — wcale nad tem, jak z tego wszystkiego w danym razie wyjdzie Rumunja. I stanowczo twierdzimy, że nie Rumunja chce tego, ale tylko błędny polityk, p. Titulescu. On w tej chwili jest ową „przeszkodą“, która stanęła na drodze racjonalizacji i normalizacji stosunków w środkowo - wschodniej Europie.

Czem się tłumaczy ta dziwna sprzeczność postępowania p. Titulescu i ta jego uległość wobec p. Benesza? Trud-

no na to publicznie odpowiedzieć. Opinje prywatne wskazują na Wielki Wschód paryski, na Commité des Forges, w których zbiegają się podobno nici różnych dziwnych zjawisk w Europie. Ale, jak się rzekło, są to tylko wersje prywatne, coprawda natarczywe, którym jednak bez „dowodów prawnych“ wiary dawać niewolno.

To nas zresztą mało obchodzi. Pozostawiamy to plotkom pokątnym. Ale co nas daleko więcej obchodzi, to fakt, że mimo sojuszu z Rumunją i mimo przychylności dla Polski różnych jej sfer, bardzo miarodajnych, którą pozyskał bezpośrednio w swych podróżach nasz ś. p. Wielki Marszałek, p. Titulescu zdaje się chodzić innymi torami, które stają w sprzeczności z sojuszem obu krajów i zaczynają być dla Polski niebezpieczne.

Interes jest interesem — może ktoś cynicznie powiedzieć. Ale p. Titulescu robi zły dla Rumunji interes. P. Jewticz, minister spraw zagranicznych Jugosławji, daleko lepiej rozumie interes swego kraju, oddalając się nieco od koncepcji Małej Ententy i wyzwalając się z pod beneszowskiej dyktatury.

Jan Bobrzyński.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ,

POWSTANIE SEKCJI GOSPODARCZEJ ZWIĄZKU.

Od czasu wydania poprzedniego tomu Naszej Przyszłości, w którym po raz pierwszy zamieściliśmy sprawozdanie z bieżącej akcji Związku w szeregu zapoczątkowanych jego sekcyj, akcja ta rozwinęła się dalej, ale — ze względu na rozpoczynający się sezon letni, do podejmowania propagandy na szeroką skalę mniej korzystny — przedewszystkiem w zakresie wewnętrznego wzmacniania naszej „szkoły“ i coraz dokładniejszego wytyczania jej praktycznych kierunków działania.

Nadmienić przytem należy, że każda sekcja, powoływana kolejno do życia, działa autonomicznie, stwarza sobie własny program, zarówno zasadniczy i metodyczny, jak i praktyczny, przyciąga z zewnątrz odpowiednich dla danej sprawy ludzi i wyszukuje sobie sama odpowiednie dla realizacji swych celów środki i drogi. Jasnem jest bowiem, że każde z zadań, znanych Czytelnikom, które wytyczył sobie Związek, a realizowane są przez poszczególne sekcje, wymaga z natury rzeczy innego podejścia i innych torów.

Zarząd Związku i najbilższe, skupione koło niego osoby, stanowią jakgdyby sztab całej „szkoły“ i akcji, której głównym ośrodkiem metodologicznym jest Nasza Przyszłość. Ona nadaje ton wszystkiemu, w myśl jej inicjatywy na różnych polach ustala Zarząd ogólne zasady i kierunki działania, które potem podejmują sekcje, wdrażając dane sprawy już samodzielnie piórem, słowem i czynem.

Brak naszemu Związkowi jednej strony ujawniania się na zewnątrz, mianowicie reklamy. Wszelka reklami-

styka jest znienawidzona i pogardzana w naszym Związku, który ma w swej nazwie stygmat „myśli państwowej". A prawdziwa, rzetelna myśl państwowa sięga głęboko, płynie potężnym, ale cichym nurtem pod powierzchnią, a nie znosi wszelkiej hałaśliwej tromtadracji, wyzłoconych i natłoczonych rozciekawionym chwilowo tłumem sal wiecowo - odczytowych, ani zrutynizowanych sprawozdań dziennikarskich, w których główny nacisk położony jest nie na rzecz, ale na snobistyczne wyliczanie „wybitnych osobistości'‚' które obecnością swą uświetniły zebranie i wywołały główną jego atrakcję.

Nie — takich widowisk akcja „myśli państwowej" nie znosi. Spotykają nas z tego powodu zarzuty ze strony różnych malkontentów, którzy radziby mieć w Związku naszym impresarja, dostarczającego im snobistycznych atrakcyj. Ale my wiemy — z długiego doświadczenia politycznego i społeczno - gospodarczego — że z takich świetnych, reklamistycznych imprez nic nigdy konkretnego, pragmatycznego nie wynika. Po świetnym odczycie, w świetnej sali, przepełnionej świetnem i tłumnem zebraniem, pozostają z reguły tylko — niedopałki od papierosów!

Inne więc są nasze drogi. Idziemy naprzód „robotą saperską", podkopując się celową, dobrze przemyślaną, nieugiętą akcją pod wszelkie czynniki i sfery państwowe, społeczne i gospodarcze, na które mamy odpowiedni wpływ wywrzeć według wytycznych zasadniczego art. 3-go naszego statutu, precyzującego cele i zadania Związku. Jasno i otwarcie odbywa się ta robota, bez żadnych konspiracji, bez żadnego wahania, nieraz z uderzaniem pięścią w stół — ale też i bez żadnego aparatu niezdrowej sensacji i reklamy.

Ważna kwestja, dyskutowana nieraz w różnych zrzeszeniach i to całkiem jałowo: czy pozostać ilościowo ograniczonym sztabem, czy też iść szeroko w masy — jest u nas oddawna praktycznie rozstrzygnięta. Związek sam

pozostanie zapewne zawsze tylko sztabem, gdyż „związek myśli państwowej" z natury rzeczy nie może być nigdy tłumem. Również niektóre sekcje Związku zatrzymają na zawsze, lub przynajmniej na długo jeszcze, charakter elitarny, działając wpływem swym na pewne, również elitarne ośrodki (np. gospodarcze lub zagraniczne). Inne natomiast sekcje przybierać będą — z natury swego zadania— charakter działania masowego, jak np. Sekcja ustroju korporacyjnego lub Sekcja szerzenia kultu Królowej Jadwigi. — Temi więc i niektóremi innemi drogami wejdzie Związek nasz pośrednio w masy.

Specjalnie wielki nacisk stara się Związek nasz kłaść na udział profesorów wyższych uczelni w jego pracach, a zwłaszcza w dokładnem precyzowaniu podstaw naukowych każdej sekcji. Zdajemy sobie bowiem sprawę z wielkiej prawdy, że wszelka akcja publiczna jeżeli ma być trwała i głębsze ma osiągnąć w społeczeństwie rezultaty, musi oprzeć się silnie na głębszych fundamentach naukowych. Bez nich będzie co najwięcej modną i świetną chwilowo efemerydą, którą lada zmiana konjunktur z powierzchni zmiecie. Ale chodzi o to, aby owa naukowa podstawa nie pozostała teorją dla uczonych, ale jałowych dyskusji, lecz przekuwała się zdecydowanemi uderzeniami młota na praktyczną akcję o charakterze prawdziwej użyteczności ogólno-państwowej.

Nie jesteśmy oczywiście w stanie podać Czytelnikom szczegółowego sprawozdania ze wszystkich prac, konferencyj, pociągnięć praktycznych i różnych innych naszych wysiłków, dokonywanych w okresie między wydaniem dwóch tomów Naszej Przyszłości. Ważniejsze rezultaty zebrań podajemy w odpowiednich, obszernych, najczęściej dosłownych sprawozdaniach lub w odrębnych, artykułowych referatach.

W tej chwili — oprócz działalności Sekcji ustroju korporacyjnego, ruskiej i węgierskiej, która pewnemi styczne-

mi łączy się z Sekcją szerzenia kultu Królowej Jadwigi — w opracowaniu są ostateczne podstawy Sekcji Gospodarczej, która wleje głębszą, materjalną treść we wszystkie prace Związku.

Sekcja ta, której właściwa działalność rozpocznie się w jesieni, ma już w gronie Przyjaciół Naszej Przyszłości — zanim powstał z niego nasz Związek — długą i ciekawą historję. Poczęła się jeszcze w r. 1931 na pierwszych, czysto jeszcze dyskusyjnych zebraniach tego grona. Rzucono tam wówczas pewne oryginalne myśli, ujmujące sprawę gospodarczą z całkiem innego punktu widzenia, niż jest ona traktowaną w rządzie, sejmie, izbach i zrzeszeniach zawodowych, w zespołach naukowo - ekonomicznych, w wydawnictwach fachowych i na łamach działów gospodarczych w dziennikach. Tam bowiem wszędzie mowa jest o doraźnych problemach i bolączkach ekonomicznych na konjunkturalnej platformie każdorazowego status quo. Nasza Przyszłość zaś, nie mieszając się zupełnie do tych wszystkich fachowo - szczegółowych dyskusji, podeszła do tego skomplikowanego zagadnienia z takiej strony, od której nikt go się dotąd zaatakować nie odważył.

Z tych pierwszych dyskusji sformułowała się stopniowo odrębna sekcja dla spraw gospodarczych już w gronie Przyjaciół Naszej Przyszłości, przez którą w ciągu dłuższego czasu przewinął się duży materjał ludzki, mówców i słuchaczy, z różnych kół zawodowych społeczeństwa. Poznaliśmy w ten sposób dobrze ich potrzeby i postulaty, ich dążenia, a przedewszystkiem mentalność i to w pierwszym rzędzie — co najcenniejszy nasz dorobek w tym zakresie stanowi — mentalność podświadomą. Ta bowiem „podświadoma mentalność“ polskich sfer gospodarczych stanowi w kraju naszym ów słynny „system ustabilizowany“ pożądań, tendencji, uczucia rzekomej krzywdy i błędnie pojętego najgłębszego interesu, co wszystko razem rzuciło sferom gospodarczym, rządowi i całej opinji publicznej tak ciężkie kłody pod nogi, że najtęższe umysły gospodarcze

przed tą przeszkodą kapitulują, nie znajdują wyjścia i zadowalają się kręceniem się w kółko dokoła rzekomego węzła gordyjskiego, ograniczając się do nalepiania angielskich plasterków na jątrzące się coraz bardziej rany.

Z tego punktu widzenia — usunięcia tych przeszkód psychologicznych, zdewualowania fałszy dotychczasowych tendencji życia gospodarczego i obalenia „systemu ustabilizowanego“ w mentalności sfer gospodarczych — podjęła swe dyskusje i prace sekcja gospodarcza Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości, doszła z biegiem czasu do bardzo ciekawych pod tem względem wyników i ustaliła już przed dwoma laty pewne fundamentalne tezy, których uznanie i rozpowszechnienie w opinji publicznej jest, naszem zdaniem, pierwszym a rzetelnym warunkiem skutecznego startu w kierunku naprawy gospodarczego położenia i zarazem wyeliminowania panoszącego się coraz bardziej etatyzmu. Ostatnie zebranie sekcji, precyzując ostatecznie te tezy, postanowiło wystąpić z niemi na szeroką arenę publiczną.

A mogła to uczynić sekcja tem łatwiej, że, oprócz długiej serji odnośnych dyskusji, miała za sobą również długi szereg artykułów Naszej Przyszłości — i to artykułów o rozmiarach rozpraw naukowych i propagandowych — różnych autorów, zwłaszcza dra Bobrzyńskiego i prof. Kliszewicza, które cały bieg myśli i ostateczne tezy, wynikłe z naszych rozważań w dziedzinie gospodarczej, ujęły w ramy dobrze i wszechstronnie wyargumentowanej doktryny, opartej zarówno na historji, jak i na pilnej obserwacji i analizie obecnej sytuacji „kryzysowej“. Zwłaszcza oba zasadnicze pojęcia, „dyktatury produkcji“ i „systemu ustabilizowanego“, zostały w rozprawach obu wymienionych autorów dokładnie sprecyzowane.

Gdy jednak w r. 1933 sekcja gospodarcza Koła postanowiła wystąpić z szerszą propagandą tych spraw, poza ramami Naszej Przyszłości, wówczas redaktor tego wydawnictwa, a zarazem przewodniczący sekcji, powstrzymał

to wystąpienie na dłuższy czas, uważając, że pora jeszcze nie nadeszła i że odczekać trzeba jeszcze przez rok lub dwa, aby ustalone przez sekcję tezy lepsze przez bieg życia i rozwój stosunków otrzymały potwierdzenie resp. korektywę.

Tymczasem Koło Przyjaciół N. P. ukonstytuowało się z końcem z. r. w Związek Polskiej Myśli Państwowej, którego jednym z głównych celów jest właśnie kontynuowanie i rozwój prac sekcji dawnego Koła na szerszą skalę i z większą systematycznością. Stąd i prace dawnej sekcji gospodarczej Koła przeszły automatycznie pod egidę Związku, w którym powstaje, a raczej regeneruje się obecnie Sekcja gospodarcza na silnych podstawach obfitego już materjału badań i zebranych doświadczeń.

Jak Czytelnik widzi z powyższego, przystępujemy do sprawy gospodarczej bardzo ostrożnie i stopniowo, na podstawie przeszło czteroletnich rozważań, obserwacji i prac przygotowawczych. Nikt nie będzie mógł zarzucić nam, że traktujemy tak ważny i skomplikowany problem dorywczo, pod jakiemś chwilowem wrażeniem. To też wszystko, co Sekcja gospodarcza Związku odtąd powie, będzie miało niewątpliwie murowane fundamenty, daleko nieraz może głębsze, niż enuncjacje niektórych fachowych instytucji i zrzeszeń zawodowych, które w wysokim stopniu zależne są od konjunktury i dlatego nieraz nazbyt konjunkturalną prowadzą politykę.

Ze względu na szereg okoliczności, który spowodował konieczność powstania w zimowym i wiosennym sezonie prac Związku na pierwszem miejscu kilku innych Sekcji, zapoczątkowaną została Sekcja gospodarcza dopiero w maju i to celowo na zebraniu kilku zaledwie osób, aby ułatwić tem głębsze przedyskutowanie raz jeszcze wszystkich poprzednich wyników naszych na tem polu i wyciągnąć z nich odpowiednią syntezę dla przedłożenia plenarnemu zebraniu Sekcji, projektowanemu na pewien termin jesienny.

Podkomisja ta — gdyż taką jest jej rola — ustaliła przedewszystkiem właściwe granice i cele działania Sekcji gospodarczej, od czego wszystkie sekcje Związku z reguły zaczynają.

Ustaliła więc przedewszystkiem — w myśl zasady, wyłożonej wielokrotnie na łamach Naszej Przyszłości — że w dziedzinie gospodarczej, jak i we wszystkich innych, Związek Polskiej Myśli Państwowej zajmować się może produktywnie i bezkonkurencyjnie tylko takiemi zagadnieniami, któremi inni wcale, albo prawie wcale się nie zajmują. Nie może więc Sekcja gospodarcza Związku ingerować w te wszystkie problemy i szczegóły życia gospodarczego, którymi zajmują się intensywnie rząd, sejm i wszelakie oficjalne i prywatne instytucje lub zrzeszenia fachowo-gospodarcze, albo wreszcie naukowe zrzeszenia ekonomiczne oraz cała fachowa prasa. Zajmowanie się temi sprawami byłoby dla Związku bezcelowem, gdyż Związek nie posiada w tym zakresie żadnego mandatu, ani fachowego tytułu, ani mocy egzekutywy. Na co więc obrabiać te same tematy, dotyczące szczegółów gospodarczych, którymi inne, bardziej powołane do tego instytucje i wydawnictwa z daleko większą kompetencją i wpływem na opinję publiczną od długich lat systematycznie się zajmują? Głos naszego Związku i Naszej Przyszłości w tych niezliczonych sprawach szczegółowych byłby conajwięcej słabem ćwierkaniem świerszcza w trawie, a rezultat praktyczny równałby się zeru.

Dlatego, nawiązując do uchwały z przed dwóch lat grona Przyjaciół Naszej Przyszłości, ustaliła podkomisja Sekcji gospodarczej Związku, że celowa i skuteczna akcja tej Sekcji może i musi skoncentrować się tylko na pewnym, specjalnym odcinku, który — o ile nam wiadomo — stanowi w dziedzinie gospodarczej dotąd dziewicze pole, nietykalne i niedostępne. Istotnie, wszelkie inne tematy, nawet najdrażliwsze, wolno poruszać w Polsce na polu gospodarczem, można swobodnie krytykować rząd i wszystkie dzia-

ły i sfery gospodarcze, ale ten jeden odcinek jest dotąd przez wszystkich strannie omijany, jakgdyby „śmierć, trwoga i trud“ broniły doń dostępu. Zrobiła też Nasza Przyszłość już od lat ciekawe doświadczenie, że ilekroć wkraczać zaczynała piórem lub słowem w owo nietykalne tabu „systemu ustabilizowanego“ mentalności gospodarczej, tyle razy powstawał przed nią momentalnie, automatycznie jakiś „zjednoczony front gospodarczy“, broniący owego dostępu i to z początku nawet w gronie najbliższych zwolenników Naszej Przyszłości!

A tem nietykalnem tabu, tym uświęconym fetyszem, zakrytym dotąd nieprzeniknioną zasłoną, której pod grozą niby straszliwych następstw i odwetu ze strony sfer gospodarczych nie wolno było uchylać, jest **analiza i ustalenie ogólnych torów, po których rozwijać się może racjonalnie i celowo życie gospodarcze.**

Wydaje się to paradoksem na pierwszy rzut oka. Przecież zdawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale w tej, tak ultra - realnej dziedzinie, jaką jest życie gospodarcze, ogólne tory winny być w pierwszym rzędzie wytyczone, choćby już tylko dlatego, że gospodarka na manowcach nie będzie nigdy w stanie wybrnąć z krytycznego położenia z bezrobocia i t. d. A jednak wielki ten paradoks jest prawdą! Stwierdziliśmy bez żadnej wątpliwości, że żaden człowiek gospodarczy nie chce dotykać tego walnego problemu ogólnych torów i celów i racji bytu życia gospodarczego z instynktownej jakiejś obawy, że wtargnięcie w tę dziedzinę wstrząśnie najpierw owym „systemem ustabilizowanym“ mentalności i tendencji sfer gospodarczych, a w konsekwencji także różnymi fotelami prezesowskimi, dyrekcyjnymi i warsztatami pracy. Stąd ta wybitna, wszędzie dająca się łatwo zaobserwować niechęć i pozorna pogarda ludzi gospodarczych dla kwestji ogólnych, a natomiast skwapliwe, krótkowzroczne, a w praktycznych rezultatach na nieco dłuższą metę beznadziejne rozpraszanie się w gąszczu konjunkturalnych szczegółów życia gospodarczego,

które ludzie gospodarczy lubią nazywać „realnymi“ i „konkretnymi“ — wbrew istotnej rzeczywistości. Cóż bowiem mogą być warte luźne, doraźne, konjunkturalne szczegóły i szczególiki codziennego życia rolniczego, przemysłowego, handlowego i finansowego bez wyraźnie ustalonych torów ogólnych i jasno sprecyzowanych granic i celów?

W ten walny problem, przez wszystkich, albo niemal wszystkich skwapliwie omijany, uderzy Sekcja gospodarcza Związku Polskiej Myśli Państwowej. To jej właściwe, „konkretne“ pole działania, na którem użyteczną rolę spełnić może. Obalić musi właśnie tę fatalną, chroniczną omyłkę sfer gospodarczych, którym się zdaje, że stracą na murowaniu fundamentów pod własne warsztaty pracy, a że natomiast utrzymają te warsztaty w nieskończoność strusią politykę konjunkturalnego podtrzymywania ich na lotnym piasku za każdą cenę.

Na posiedzeniu podkomisji wysunął jeden z referentów następujące, nader trafne porównanie obecnego życia gospodarczego z pociągiem kolei żelaznej, gotującym się do ruchu. Zbudowano pociąg wspaniały, z najnowocześniejszą lokomotywą i szeregiem błyszczących wagonów. Tłum fachowców kolejowych, inżynierów i robotników krząta się koło niego, przykładając ostatnią rękę. Zarząd kolei — a więc rząd — wydaje podróżnym bilety na kredyt, płatny na najbliższych stacjach, albo nawet i na ostatniej, byle tylko ułatwić im podróż i opłacalność pociągu. Wszystko gotowe, „realne“ i „konkretne“, para bucha, pociąg rusza —ale oto zoczyna skakać z grudy na grudę, koła wrywają się w ziemię, wagony zderzają się o siebie, błyszczący lakier odpada, łamią się sprzęgła i resory i wreszcie z pięknego pociągu pozostaje kupa gruzów, a zarządowi kolei... niespłacone kredyty.

Dlatego?

Dla bardzo prostej przyczyny. Bo aferując się nadmiernie szczegółami technicznymi i finansowymi pociągu,

zapomniano zbudować mu toru. A bez toru, jak wiadomo, najlepszy pociąg nie pojedzie.

Dzieje się tak dosłownie w sferach gospodarczych i to z takim zaciętym uporem, że wolą one raczej bankrutować lub z rozpaczy poddawać się pod jarzmo etatyzmu i socjalizacji, zamiast podjąć na serjo i szczerze poważną dyskusję nad ogólnymi torami i celami pracy gospodarczej.

Ale staje się obecnie szczególnie aktualnem jeszcze drugie walne zagadnienie, którem równocześnie zajmie się nasza Sekcja gospodarcza. Oto w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat olbrzymi postęp dokonał się na wszelkich polach życia ludzkiego — z jednym jedynym wyjątkiem: wiedzy prawniczo - fiskalnej.

Podwaliny tej gałęzi wiedzy, obowiązujące do dziś dnia na całym świecie — bez względu na to, czy gdzieś panuje konserwatyzm, czy demokracja, czy faszyzm, czy bolszewizm — zbudowane zostały stopniowo w XVIII wieku, w dusznych kamerach fiskalnych państw ówczesnych, przekształcających się z ustroju stanowego, w którym pewne warstwy prawie nie płaciły podatków, w ustrój coraz bardziej demokratyczny, w którym każdy obywatel podatki płacić musi. Prawnicza wiedza naukowa, idąc skwapliwie na usługi państwa,wysiliła się na wzmocnienie i uzasadnienie, nieraz bardzo osobliwe, coraz bardziej różniczkującego się, komplikującego i zwiększającego powszechnego ciężaru świadczeń obywateli na rzecz państwa. Taksometr fiskalny stał się systemem wszechobecnym i wszechpotężnym. Z kamer fiskalnych wyrastały coraz to liczniejsze i dziwaczniejsze pomysły t. zw. konieczności państwowych, podchwytywane następnie, uzasadniane subtelną djalektyką i opatrywane pieczęcią autorytetu przez „naukę o państwie“, a zwłaszcza przez ekonomję polityczną i jej dział, traktujący o skarbowości.

Weszło to bezkrytycznie w krew i kość dzisiejszego aparatu skarbowego w formie dogmatów niewzruszalnych.

Skorzystała z tego skwapliwie demagogja, wydając walkę własności prywatnej, a przedewszystkiem każdemu, nieco większemu stanowi posiadania. Przyszedł jej w pomoc powojenny etatyzm w różnej formie, identyfikując się apodyktycznie z dawnem pojęciem „ojczyzny". W rezultacie skonstruowano absurdalną doktrynę, że państwo jest celem samym w sobie, a jednostka quantité négligeable, która czerpie swą rację bytu tylko z idei państwa i temu państwu, jakiemkolwiek ono jest, wszystko stale poświęcać winna.

Myśl absurdalna, a oparta w najgłębszej swej istocie na prastarej ideologji kameralno-fiskalnej, której dotąd nic nie zdołało obalić lub przynajmniej zmodernizować. Przeciwnie, ideologja ta w najnowszych czasach jeszcze bardziej pogłębiła się i zakostniała na podłożu etatystycznej sklerozy.

Oto drugi przeciwnik, bardzo potężny, który beznadziejnie pogłębia chroniczny upadek gospodarczy, dławiąc coraz bezwzględniej pracę ludzką, życie gospodarcze, a w konsekwencji i samo państwo, w którem zapanowała wszechwładnie fiskalna racja stanu czerpania z wysychającej studni. Jak słusznie zauważył żartobliwie jeden z referentów podkomisji, fiskalizm państwowy wpada już w taką sprzeczność tragikomiczną, że gdzie studnię wyczerpie, tam sztucznie do niej (w postaci kredytów) wody dolewa, aby móc z niej znowu czerpać to, co sam dolał!

W tej sprawie Związek Polskiej Myśli Państwowej wydaje również walkę z całem przeświadczeniem o jej doniosłości. Ale wydaje ją nie aparatowi fiskalnemu państwa, nawet nie etatyzmowi, czy demagogji socjalnej, gdyż są to tylko rezultaty względnie symptomy błędnej doktryny — ale w pierwszym rzędzie fachowej wiedzy prawniczo - fiskalnej i jej z dawnej kamery absolutnych rządów zaczerpniętym tezom, które gwałtownie domagają się rewizji. Jesteśmy przekonani, że gdy zmienią się, zregenerują i zracjonalizują owe tezy, głoszone z katedr uniwersyteckich i w podręcznikach prawniczo - fiskalnych, to stopniowo za-

czną się przebudowywać także i urzędowe pojęcia o sprawiedliwych granicach świadczeń pieniężnych jednostki na rzecz ogółu.

Tyle podajemy narazie o wynikach prac podkomisji Sekcji gospodarczej. Ciąg dalszy, obejmujący szczegółowe tezy, przenosimy na jeden z najbliższych tomów tego wydawnictwa.

KONKURS
POLSKIEGO TOWARZYSTWA EKONOMICZNEGO WE LWOWIE.

Ilokrotnie mowa jest o programie gospodarczym Polski na najbliższą przyszłość, pojawiają się najrozmaitsze pomysły, po większej części wzorowane — i to dość powierzchownie — na zagranicy, żyjącej w odmiennych stosunkach, a stosowane w praktyce, acz nie zawsze konsekwentnie do końca, przez różnych kierowników naszych resortów gospodarczych.

Poważne omyłki w dziedzinach naszej polityki gospodarczej wynikają głównie z braku dokładnej i źródłowej znajomości dotychczasowego jej przebiegu, zarówno u nas, jak i gdzieindziej.

Ogół wykształcony sądzi zupełnie mylnie, że do prowadzenia pomyślnej polityki gospodarczej, odmiennie, niż n. p. w dziedzinie wojskowości, dyplomatycznych stosunków z zagranicą, czy też oświaty lub komunikacji — wystarczy wykształcenie ogólne i przeniesienie na nasz teren metod pracy, gdzieindziej skutecznych.

Stąd pochodzi, że podczas gdy w innych dziedzinach mamy do zanotowania szereg powodzeń, w dziedzinie gospodarczej mają one miejsce tylko tu i ówdzie i w mniejszej mierze, niż mielibyśmy prawo tego oczekiwać.

Dewaluacja znaków pieniężnych i bardzo znaczne obniżenie ich wartości były zabójczym ciosem zarówno dla zasady oszczędności, jak i dla całego kredytu hipotecznego.

Niedostatecznie rozbudowane ustawodawstwo akcyjne, przez brak ochrony małych akcjonarjuszy i fałszywą tolerancję dla szeregu wybiegów, nie dopuściło do rozbudowy wielkiego przemysłu w drodze napływu kapitałów od małego i średniego kapitalisty. W jednym i drugim wypad-

ku ustawodawca pragnął zapewne poprzeć klasy posiadające, faktycznie jednak mocno im zaszkodził, wytwarzając nietylko wśród większości nieposiadających nastrój, w najwyższym stopniu dla nich niechętny, ale ponadto płosząc i zniechęcając średnie i małe kapitały do lokacji ich w listach zastawnych czy akcjach.

Dopiero dokładne zobrazowanie dotychczasowego przebiegu wydarzeń może dać jasny obraz rzeczywistego stanu rzeczy, rozróżnić między szkodliwą inflancją a inwestycjami produkcyjnemi, dopomóc do odżycia taniego kredytu długoterminowego dla własności nieruchomej, jak również do odbudowy chętnego współdziałania w tworzeniu silnych i solidnych placówek przemysłowych.

Dokładne zbadanie przeszłości umożliwi na przyszłość zaniechanie popełniania błędów, dzięki którym, zaniedbując najbliższe sposobności, doprowadziliśmy Polskę do ciężkiego stanu gospodarczego, w jakim się ona obecnie znajduje.

Z tych wychodząc założeń, nie powodowani chęcią służenia żadnej partji i zatajania niczyich błędów, mając na myśli jedynie służbę publiczną i dobro Państwa, rozpisujemy konkurs na pracę:

„Przebieg polityki gospodarczej Polski od 1918 do 1935“.

W osobnych rozdziałach należy uwzględnić przemysł, rolnictwo, handel, spółdzielczość, stosunki walutowe i kredytowe.

Termin nadsyłania prac do dnia 1-go października 1936 roku pod adresem: Polskie Towarzystwo Ekonomiczne we Lwowie.

Sąd konkursowy będzie w swoim czasie przez Zarząd naszego Towarzystwa ustanowiony, a skład sądu podany do wiadomości publicznej.

Prace powinny być źródłowe i wyczerpujące, wolne od wszelkich tendencyj partyjno-politycznych. Krytyka rze-

czowa natomiast jest nietylko dopuszczalna, ale wprost nieodzowna.

Autor winien zbadać całe ustawodawstwo gospodarcze polskie w danej materji, zapoznać się ze stenograficznemi sprawozdaniami Sejmu i Senatu, spostrzeżeniami odnośnych Komisyj parlamentarnych oraz całą literaturą przedmiotu.

Głównem zadaniem pracy jest dokładne i umiejętne przedstawienie przebiegu naszej polityki gospodarczej w danym okresie czasu.

Oczywiście jednak zwiększyłoby wartość pracy, gdyby autor jej nie poprzestał na suchem wyliczeniu faktów i treści ustaw, ale zarazem umiał porównać je z ustawodawstwem i stosunkami w Niemczech, Francji, Anglji, Italji, Rosji Sowieckiej i innych państwach, tudzież ocenić je bezstronnie ze stanowiska ich pozytywnej lub negatywnej wartości dla państwa.

Za najlepszą pracę ustanawiamy nagrodę Zł. 2.000— (dwa tysiące) złotych.

Autor nagrodzonej pracy, której ogłoszenie drukiem Towarzystwo sobie zastrzega, otrzyma ponadto 15 proc. ceny księgarskiej brutto, po potrąceniu kosztów jej wydania.

Polskie Towarzystwo Ekonomiczne we Lwowie.
(Akademicka 21, m. 7).